Rok III. Styczeń 1930. Nr. 1



Kopalnia Hr. Laura w Chorzowie: Szyb kolejowy.

NA TROPIE

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Z Polski i ze świata.

— Przesilenie rządowe zakończone zostało po Św. Boż. Narodzenia powołaniem gabinetu prof. Bartla, który poraz piąty objął obowiązki prezesa Rady Ministrów.

Senat przyjął ordynację wyborczą do Sejmu Śląskiego, wobec czego spodziewane jest ogłoszenie wyborów, które odbędą się w maju, lub czerwcu.

— Wybory do sejmików powiatowych w województwach zach. przyniosły zdecydowane zwycięstwo Polakom, którzy zyskali na Pomorzu 435 miejsc (Niemcy 34), a w Poznańskiem 700 (Niemcy 63).

— Pan Prezydent Rzplitej dokonał otwarcia państw. fabryki związków azotowych w Mościcach k. Tarnowa. Jak wiadomo, ten „nowy Chorzów" powstał z inicjatywy p. Prezydenta.

— Amerykanie zabiegają o kupno za cenę miljona zł. egzemplarza biblji Gutenberga z XV w., znajdującego się w bibljotece bernardyńskiej w Lubawie. Biblja jednak nie zostanie sprzedaną.

— Sejm obraduje w komisjach nad budżetem i zmianą konstytucji. Między innemi skreślono w projekcie budżetowym 1½ miljona zł. na wykończenie Centralnego Instytutu W. F. w Warszawie!

— W najbliższym czasie zostanie uruchomiona stacja radjowa w Łodzi na fali 230 m. W Łazach, 23 klm. od Warszawy, ma być wkońcu br. uruchomiona najsilniejsza na świecie stacja radjowa. Maszty mają mieć 200 m. wysokości.

— W lecie będą wprowadzone 15 dniowe kolejowe bilety okrężne po całej Polsce. W r. ub. sprzedano takich biletów 22.000.

— W Wilnie odbył się ogólnopolski zjazd Tatarów dla załatwienia spraw gminy wyznaniowej mahometańskiej.

— Góry Świętokrzyskie udostępniono dla turystyki przez otwarcie szosy Górno — św. Katarzyna — Bodzentyn.

— Budowa wodociągu pod Maczkami nad Białą Przemszą postępuje. W lecie wodociąg zacznie zaopatrywać Zagłębie dąbrowieckie, w przyszłości obsługiwać będzie cały G. Śląsk.

— P. Z. L. A. posłał do zarejestrowania protokoły rekordów Lonki w rzucie oszczepem oburącz (54,56 m.) i Walasiewiczówny w biegu na 60 m. (7.6 sek.), jako rekordów światowych. Obok Konopackiej na tabeli światowej widnieć będą jeszcze dwa nazwiska polskie.

2 lutego odbędzie się w Pradze Zjazd Związku Kobiet Słowiańskich.

— Krajem, w którym zarejestrowano jedynego przedstawiciela pojazdów mechanicznych: motocykl, jest Tybet.

— Stocznia gdańska otrzymała zamówienie na okręty ze St. Zjednoczonych.

— Polacy amerykańscy nadesłali do kraju na Święta 11.000 przekazów pieniężnych.

— Polsce należą się od Sowietów zbiory muzealne i archiwalne wartości przeszło 500 miljonów złotych.

— W Wilnie ma powstać Instytut Żydowski, który będzie żydowskim uniwersytetem całego świata.

— Na Helu w czasie wielkiej burzy groziło przerwanie wydm i połączenie się wód morza z zatoką pucką.

— W lutym przybywa do Polski Prezydent Estonji, Otto Strandman.

— Styczniowej Radzie Ligi Narodów przewodniczył polski minister spraw zagr. — p. Aug. Zaleski.

— Parlament Rzeszy przystąpił do obrad nad ratyfikacją polsko-niem. umowy likwidacyjnej, w której Polska zrzeka się likwidacji majątków, praw i udziałów niemieckich, a Niemcy pretensyj do Polski, powstałych wskutek wojny i Traktatu pokojowego. Umowa ta ma być wykonywana z chwilą wejścia w życie planu Jounga.

— Nad planem Younga i zobowiązaniami państw, wynikającemi z traktatów pokojowych, obradowała konferencja w Hadze.

— Londynie odbywa się konferencja rozbrojeniowa morska, otwarta przez króla Jerzego.

— W przemyśle automobilowym St. Zjednoczonych panuje kryzys, ponieważ produkcja roczna przewyższa o miljon ośmset tysięcy zapotrzebowanie. General Motors i Ford, konkurujące ze sobą najpotężniejsze przedsiębiorstwa, walczą przeto o zdobycie rynków zbytu w innych częściach świata. Gen. Motors wykupił niemieckie zakłady automob. Opel i stara się o zamknięcie granic Rzeszy przed przywozem Fordów podwyższeniem ceł. Liczyć się przeto należy z obniżeniem cen automobili jako wynikiem tej walki.

— Rząd zamierza wypuścić nową premjową pożyczkę dolarową.

— Na Śląsku Opolskim wzrasta gwałtownie bezrobocie.

— Wyprawie polarnej Byrda, uwięzionej wśród lodów, zagraża głód. Rząd Stanów Ziedn. wysyła na pomoc łamacze lodów z żywnością.

— Miss Polonią na r. 1930 została wybrana p. Z. Bałtycka ze Lwowa, wicemiss-kami zostały p. Malczewska z Warszawy i Winkowska z Poznania.

— 7 marca przypada rocznica 600-lecia istnienia miasta Tarnowa, wyniesionego do tej godności przez Wł. Łokietka. Tarnów, jako osadę, spotykamy już w r. 1105 w spisie dóbr opactwa Tynieckiego. Z początkiem XIV. w. należał on do Wojewody krakowskiego Spicymierza, protoplasty Tarnowskich i Melsztyńskich.

— Ojciec Św. przedłużył rok jubileuszowy do końca czerwca 1930 r.

— Słynny kijowski klasztor Ławra Pieczerska został zamknięty i oddany klubom komunistycznym.

— Australijski fabrykant czekolady Robertson ofiarował 250.000 dolarów na koszta nowej wyprawy do bieguna.

— Muzeum Brytyjskie zakupiło „Złotą strzałę"., samochód Segrave'a, na którym zdobył on rekord szybkości. Wartość samochodu wynosi 800.000 zł. Wszystko w nim, aż do najmniejszej śrubki, wykonano ręcznie.

—Watykan wypuszcza 6. II. nową serję znaczków pocztowych. Marki obecne pozostaną w użyciu aż do wyczerpania się zapasów.

— Król hiszpański przyjął dymisję gen. Primo de Rivery i powierzył rządy gen. Berenguerowi.

— Nakładem Zw. Strzeleckiego wyszła książka p. t. „Jak zostać dobrym skarbnikiem", omawiająca jasno rachunkowość w stowarzyszeniach społecznych.

— Amerykańskie Tow. radjowe ufundowało trzy stypendja po 1.500 dolarów dla studentów, specjalizujących się w prawie radjowem, okazuje się bowiem potrzeba pracowników-specjalistów w tej dziedzinie.

— Rekord polski na czas utrzymania się w powietrzu na samolocie bezsilnikowym wynosi 2 godz. 11 m. 5 s. i należy do prezesa Aeroklubu Akad. we Lwowie, pilota Grzeszczyka. Międzynarodowy rekord wynosi 14 godzin i 12 min.

— Belgja zakupiła 3 silnikowy samolot pasażerski, Fokker, wyprodukowany w całości z materjałów krajowych przez fabrykę Plage-Laśkiewicz w Lublinie.

— Szwedzki inż. Hesschman dokonał ostatecznej próby wynalezionego i skonstruowanego przez siebie silnika spalinowego, do którego użył oliwy jako paliwa. Wynalazek ten zapewnia 50 proc. oszczędności paliwa i zmniejsza do minimum niebezpieczeństwo pożaru.

— Do Francji ma w b. r. wyjechać 62 tys. robotników polskich. Francja ma ulepszyć opiekę nad polskimi emigrantami.

—W Rzymie odbyły się zaślubiny włoskiego następcy tronu z córką króla belgijskiego. Młoda para została przyjęta przez Papieża.

— W kwietniu w Berlinie będzie urządzona wystawa sztuki polskiej.

— W Kopenhadze kursuje 150.000 rowerów, z tego 80.000 należy do kobiet podczas, gdy w Polsce zarejestrowanych jest 307.000 rowerów.

— Wojewódzki pomorski Komitet obchodu 10-lecia niepodległości zakupił nowy statek szkolny „Pomorze", wyzwał Województwo krakowskie, by również ufundowało statek.

— Narodowy Kongres wszechindyjski w Lahore uchwalił walkę o całkowitą niepodległość Indyj i oderwanie się od W. Brytanji. Walka polega na biernym oporze: niepłaceniu podatków, bojkocie towarów i urzędów ang. i unikaniu współdziałania z Anglikami.

— Litewska Rada Ministrów postanowiła w roku 1930 używać w dokumentach nazwy „roku W. Księcia litewskiego Witolda".

— „Orli Lot", znany miesięcznik krajoznawczy, święci w b. r. dziesięciolecie swego istnienia.

— Tegoroczny Zjazd Kół Krajoznawczych młodzieży odbędzie się w dn. 28. VI. — 2. VII w Krzemieńcu.

— Podczas gdy w r. 1922 pobierało naukę szkolną 69% obecnie pobiera ją 95% dzieci w wieku szkolnym.

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. Szafranka „Domek Harcerski“

NA TROPIE

Konto w P. K. O. Katowice Nr. 305.330.

Cena 50 groszy.

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

POD REDAKCJĄ MARJANA WIERZBIAŃSKIEGO

Dziesięciolecie zaślubin Rzeczypospolitej z Morzem.

„Gdybyśmy, jak słyniemy jazdą, nawykli równie do służby morskiej, posiadając Bałtyk, jeśli nie przewyższylibyśmy, dorównalibyśmy napewno wszystkim Europejczykom“.
S. Dobrowolski, 1631 r.

10 lutego 1920 r. gen. Józef Haller, zająwszy w imieniu Rzeczypospolitej przyznane jej traktatem pokojowym Pomorze, stanął nad morzem i w zatoce Puckiej dokonał symbolicznego aktu zaślubin Polski z Morzem, wrzucając do wody wspaniały pierścień.

Powracała do Macierzy ziemia, o którą walczyliśmy od stuleci, której oderwanie decydowało o losach Państwa w okresie rozbiorów.

Nie ziściły się jednak w zupełności nasze dążenia. Wprawdzie w chwili, kiedy powstawała Polska, w listopadzie 1918 r. pokonane w światowej wojnie Niemcy, godziły się na uznanie wolnej Polski z wolnym i bezpiecznym dostępem do morza, to jednak traktat pokoju, podpisany w Wersalu, dostęp ten znacznie ograniczał, tworząc wolne miasto Gdańsk.

„Drzwi do świata“, jakie nam przyznano, wynosiły zaledwie stokilkadziesiąt kilometrów wybrzeża na przestrzeni długości 73 klm., z trzema lichemi przystaniami, dobremi dla kutrów rybackich, ale nie dla statków handlowych i wojennych 30 miljonowego państwa.

Rozumieliśmy jednak, że umocnienie się na tym skrawku słowiańskiej ziemi, która ostała się przed zagładą niemiecką, to nasz najżywotniejszy interes, nasza najistotniejsza potrzeba.

Los oddał nam w ręce ostatnią twierdzę, ostatni obronny zamek — garstkę Kaszubów, którzy nie dali się zgryźć, pożreć i wdeptać w otchłań niemiecką.

Trzeba było tę odnogę wielkiego plemienia, krok za krokiem, piędź za piędzią, stulecie za stuleciem ustępującego przed obcą nawałą, dźwignąć. Trzeba było wznieść nad Bałtykiem dzieło dostojne i nieśmiertelne, dowód wielkości i potęgi narodu, który rozumie, czem dla niego są „drzwi do świata“ i czem jest ziemia Kaszubska.

Chodziło nie doraźne chcenie, nie o topienie sił w błotach nadmorskich, ale o granitową twierdzę, której nie zmyje morze nieskończonem chlustaniem, o rzecz nieprzemijającą, twardą i niewzruszoną.

Z idei tej zrodził się port polski w Gdyni, zrodziła się praca nad wyzyskaniem całego wybrzeża.

Oto dziś tam, gdzie przed dziesięciu laty istniała licha wioska rybacka, rozciąga się trzydziestotysięczne miasto, — tam gdzie zaledwie kutry rybackie mogły zawijać, odbijają i przybijają codziennie dziesiątki wielkich statków.

Polska wykańcza dziś własny port, który uniezależnia ją od niechętnego Gdańska, umacnia jej stanowisko nad Bałtykiem, służyć będzie za podstawę rozwoju polskiego handlu zamorskiego i polskiej żeglugi.

Na krańcu półwyspu Helskiego leżała przed dziesięciu laty prymitywna, zupełnie zaniedbana przystań rybacka, — dziś port, osłonięty od morza betonowem molo, daje schronienie parowcom. Hel połączyliśmy linją kolei żelaznej, w Pucku wybudowaliśmy port dla morskiego lotnictwa wojennego, w okolicach Karwi lub na jeziorze Żarnowieckiem planujemy budowę wielkiego portu rybackiego.

W Tczewie wreszcie za rządów Rzeczypospolitej powstał morsko-rzeczny port nad Wisłą, służący głównie do przeładunku węgla i drzewa.

W r. 1927, w dniu święta Trzech Króli, obchodziła Polska wielką uroczystość podniesienia bandery na maszcie pierwszego polskiego statku handlowego „Wilno“. Dziś po trzech latach kursuje na dalekich morzach pod ojczystą banderą handlową 29 statków.

W wolnej niepodległej Polsce dostęp do morza nie mógł być wyżebrany, przemycony, stał się polskim, nikt go nam nie wydrze, nie podepcze i nie zniszczy. Wiecznemu gwałtowi przeciwstawiliśmy polską moc.

Polskie morze w cyfrach.

OBRÓT TOWAROWY W GDYNI:

	wywiez. w ton.	przywiez.	razem
r. 1924	9 086	931	9717
r. 1928	1 765 048	190 962	1 956 010
r. 1929 (11 mies.)	2 261 088	300 947	2 562 935

RUCH STATKÓW W GDYNI:

	weszło	wyszło	razem
1924 r.	27	27	54
1926 r.	298	303	601
1928 r.	1 108	1 093	2 201
1929 r. (11 mies.)	1 420	1 425	2 845

OBRÓT TOWAROWY W GDAŃSKU:

	ogółem
rok 1912	2 452 212 ton
rok 1924	2 374 557
rok 1926	6 300 301
rok 1928	8 485 801

POLSKA MARYNARKA WOJENNA:

3 łodzie podwodne,
2 kontrtorpedowce,
5 torpedowców,
2 kanonierki,
4 trawlery,
1 transportowiec,
1 statek szkolny,
1 statek hydrograficzny,

oraz Dywizjon Lotnictwa Morskiego.

1400-letnia rocznica Benedyktynów.

Papież Pius XI, omawiając na ostatnim, w grudniu 1929 roku odbytym, Konsystorzu Watykańskim jubileusze ważne dla świata katolickiego, wymienił na pierwszem miejscu obchód 1400-letniej rocznicy powstania zakonu Benedyktynów. Rzeczywiście była to najważniejsza rocznica, jaką świat katolicki obchodził w ubiegłym roku, jubileusz nieprzeciętnego znaczenia, jakkolwiek dużo jeszcze ludzi nie zdaje sobie sprawy z wartości



Św. Benedykt (z krużganku opactwa w Maria Lacum).

religijnych, naukowych, kulturalnych i gospodarczych, jakie czternaście wieków cichej pracy czarnych mnichów przyniosło całej ludzkości.

Historja zakonu benedyktyńskiego — to historja życia zakonnego wogóle, to, jeżeli weźmiemy pod uwagę wieki średnie, historja wiedzy nauki i racjonalnej gospodarki rolnej, to wreszcie dzieje misji i świętych.

W roku 529 Benedykt z Nursji zakłada pierwszy klasztor na górze Monte Cassino.[1]) Było to pierwsze na Zachodzie zgromadzenie ludzi, pragnących razem pracować i żyć, doskonaląc się i zbliżając do ideału. Św. Benedykt nadaje klasztorowi regułę, która jednak nie wiąże zakonników szablonowemi przepisami — przeciwnie, każdy klasztor benedyktyński ma swą odrębną fizjognomję, zależną od warunków, bo „na każdem miejscu służy się temu samemu Panu, walczy się dla tego samego Króla".

[1]) Siostra Św. Benedykta, Św. Scholastyka zakłada niedługo potem klasztor żeński, wprowadzając tam regułę Św. Benedykta. W artykule niniejszym nie zajmuję się jednak Benedyktynkami, traktując jedynie o męskich klasztorach.

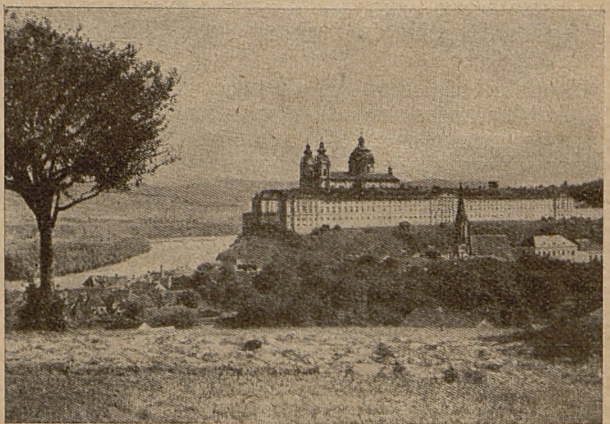
Rozwój zakonu był potężny — szybko jeden za drugim powstają klasztory, wybitne w dziejach: w Cluny, Pereum, Citeax i inne. Z Zakonu wychodzi szereg najświatlejszych umysłów i długi poczet świętych. Odłamy tego zakonu, to późniejsze reguły Kamedułów, Cystersów i inne. Z wiekami Reformacja w wieku XVI zadaje mu silny cios, a prawie że upadek przynosi prąd sekularyzacyjny w XVIII wieku. Napoleon kasuje szereg klasztorów, toż samo uczyniła nieco przedtem rewolucja francuska. Nie lepiej działo się w Polsce po rozbiorach i w Austrji za Józefa II. Papież Pius VII widzi z początkiem XIX wieku niemal zupełną ruinę zakonu. Tymczasem jednak Benedyktyni powstają na nowo i zdobywają nowe tereny pracy poza-europejskie, przedewszystkiem w Ameryce Północnej.

Obecnie, obchodząc 1400-letnią rocznicę swego istnienia, zakon benedyktyński liczy 165 klasztorów męskich, w których pracuje przeszło 7000 zakonników. Klasztory te tworzą 15 odrębnych Kongregacyj, na jakie cały zakon się rozpada.

Jeżeli każdy naród ma w swych dziejach karty pracą benedyktyńskich zapisane, to Polska winna im wiele i pod wieloma względami. Dzieje pierwszych wieków historycznej Polski, dzieje jej kultury, rozwoju chrześcijaństwa są to wyniki działalności tych jednostek, które w zakonie św. Benedykta kształciły charakter, w myśl jego reguł pędziły życie.

Pierwszy biskup Polski, Jordan, biskup misyjny z siedzibą w Poznaniu, to najprawdopodobniej benedyktyn. Męczennik polski i patron, człowiek, który śmiercią swą wykuł dla Polski niezależność kościelną i przygotował koronację jej księcia, św. Wojciech, we włoskim klasztorze Benedyktynów u św. Aleksego na Awentynie czerpał siły do pracy misyjnej, kształcił swą wolę i serce. Doradca Chrobrego króla, opat najstarszego klasztoru w Polsce w Międzyrzeczu, Tuni (Antoni) — to Benedyktyn. Pierwsi męczennicy na ziemiach polskich pochodzą z eremów św. Romualda z Camaldoli, reguły benedyktyńskiej, z Pereum eremu św. Romulda, pochodzi św. Brun, którego rola w czasach walk polsko-niemieckich jest dobrze znana. Umiał też Bolesław Chrobry ocenić znaczenie czarnych mnichów: obok najstarszego w Polsce klasztoru Benedyktynów w Międzyrzeczu, powstają niebawem inne, niektóre z nich jak Trzemeszno, czy Łęczycę wiąże tradycja z osobą św. Wojciecha, mianując go ich fundatorem, inne powstają później nieco, zakładane przez polskich panujących lub ich dostojników. Zaroiły się rychło polskie ziemie od zakonników, pracujących fizycznie i umysłowo nad podniesieniem naszego narodu.

Zakonowi temu zawdzięczamy nawet więcej, bo pierwociny naszego piśmiennictwa, naszej historjografji,



Opactwo benedyktyńskie w Melk nad Dunajem (Dolna Austrja).

choć bowiem nie znamy nazwiska autora naszej najstarszej kroniki t. zw. Galla-Anonima, możemy napewno przyjąć, że był on Benedyktynem. Polacy też pewno często wstępowali do klasztorów cichych zakonników, wiemy, że syn Chrobrego Bezprym przebywał w pustelni koło Rawenny, u włoskich eremitów reguły św. Romualda.

Z biegiem czasu inne zakony współzawodniczą z Benedyktynami i odbierają im kierowniczą rolę w życiu kulturalnem i naukowem narodu. Już za Kazimierza Sprawiedliwego, w kancelarji księcia spotykamy Cystersów, nie zapominajmy jednak, że wywodzą się oni z zakonu Benedyktynów. Wiek XIII przynosi zakony żebracze, one wtedy uzyskują decydujący wpływ. Opactwa benedyktyńskie usuwają się na ubocze, zasklepiają w pracy naukowej. Czasy nowożytne nie sprzyjają ruchowi ascetycznemu. Epoka porozbiorowa zabije i kasuje jeden po drugim klasztory. Dziś na ziemiach polskich jeden tylko istnieje benedyktyński klasztor w Lubiniu, należący do Kongregacji w Beuron. Po innych zostały ruiny, rękopisy i wyrażenie wymowne, a nie będące pustym frazesem: „benedyktyńska praca". Pracę tę włożyli cisi i bezimienni najczęściej mnisi czyto w podniesienie kultury rolnej — osuszenie bagien i karczunek lasu, czy przepisywanie foljałów ksiąg naukowych, czy wreszcie działalność apostolsko-misyjną, niosąc światło wiary obcym ludom. Tak więc stojąc u progu 15 wieku swej bogatej i różnorodnej działalności, może zakon św. Benedykta patrzeć z dumą w przeszłość, ze spokojem i wiarą w przyszłość i ufać, że nowe wieki przyniosą nowe i liczne dowody jego tężyzny i wartości w dorobku ogólnoludzkiej kultury.

Marjan Pelczar.

Reprodukowane ryciny wzięte są z dzieła: Stephanus Hilpisch: „Geschichte des benediktinischen Mönchtums". Freiburg in Breisgau, 1929.

WŁADYSŁAW MIDOWICZ.

Gdy budzi się gniew gór.

„Tak moi Panowie — góry lubią się mścić i nie radziłbym wracać jutro przez Krzyżne!"

— W kominku trzasła tląca głownia i strumień iskier posypał się na świetlicę, ukazując na chwilę twarz przygodnego towarzysza wyprawy.

Dziwny to był człowiek ten nasz pan Jurek (tak bowiem kazał się nazywać od pierwszej chwili poznania). — Twarz pocięta brozdami, osmolona wiatrem. oczy niebieskawe, wyblakłe, zapatrzone w czas, który już przeszedł; miał chyba z pięćdziesiąt lat.

Reszki dostatku narciarskiego trzymały się na jego smukłej postaci — świetny niegdyś dress, mimo widocznych śladów długoletniej walki z aurą tatrzańską, leżał jak ulany, buty także niezgorsze, opięte sprzączkami.

Czem się ten człowiek żywił na wycieczkach, to właściwie niewiadomo — worka turystycznego nie uznawał zupełnie, a raki nosił w małej torebce skórzanej, powieszonej pod wiatrówką przez ramię; w kieszeniach posiadał tylko istny skład tytoniu i papierosów.

Poznaliśmy się w niezwykły sposób. — W śliczne kwietniowe rano, przy zjeździe z przełęczy Krzyżnego, pod zjeżdżającym przodem Staszkiem, urwała się nagle wielka deska śnieżna. Nikt nie spodziewał się jej w tem miejscu i w takich warunkach, to też zgłupieliśmy na chwilę, a Staś tymczasem, mimo rozpaczliwych wysiłków, staczał się szybko z rosnącą lawiną, wgłąb . . .

I nagle — zza załamu kończącej się grańki szkolnej, wysunęła się ludzka ręka i błyskawicznym ruchem schwyciwszy za spód wiatrówki przelatującego właśnie obok, Staszka, osadziła go w miejscu, wyrywając z śmiertelnych objęć lawiny, która z głuchym łoskotem stoczyła się przez kosówki do potężnego żlebu nad Roztoką.

To był właśnie „on" — pan Jurek. W schronisku dopiero zawrzała zacięta dyskusja: — czy zjazd odbywał się z zachowaniem wszelkich ostrożności i z jakich właściwie powodów poszła lawina?! —

Lecz nie mogliśmy się w żaden sposób pogodzić; zapadło wreszcie gremjalne postanowienie, iż wrócimy jutro na Halę Gąsienicową znowu przez Krzyżne, by przekonać się na miejscu, kto miał ostateczną rację. —

Wtedy dopiero „pan Jurek", milczący dotąd uparcie — przemówił.

— Proszę nie sądzić, iż słowa powyższe powiedziałem tak sobie ot „na wiatr" — chodzę samotnie po górach nie od dziś i sam przekonałem się, że nie jest to zbiorowisko martwych głazów i ścian zamarłych — lecz szereg istot dumnych i mściwych, nie uznających w swem państwie, człowieka. — A prym wśród nich wiedzie chyba właśnie — Krzyżne, które dziś odezwało się znowu. Macie wyjątkowe szczęście — piekielny żleb!

I taką nienawiścią zabłysły mu oczy, że mimowoli wzdrygnął się ponielctóry z nas. — Ten człowiek musiał przejść w swem życiu rzeczy wiele.

— Pomnę, — opowiadał — lat temu już kilkanaście, byłem członkiem Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego. Sezony zimowe były wówczas o wiele bardziej ożywione — nieszczęśliwych wypadków więcej. Nie było tygodnia, byśmy nie szli komuś z pomocą; najbardziej hulały lawiny.

Widnieją mi przed oczyma odkopane z pod ich całunów postacie, które „biała śmierć" zabrała bezpowrotnie. — Twarze skrzywione w straszliwym grymasie przerażenia czy nienawiści, ręce zaciśnięte kurczowo . . . — Był to widok, przy którym starzy nawet przewodnicy odwracali niekiedy głowy.

Był pamiętny rok — 1934. — Z wiosną rozpoczęła się się istna wędrówka narodu narciarskiego przez Krzyżne, które do tego czasu omijano w zimie jako szlak silnie lawiniasty. — Z początku wszystkie wyprawy udawały się normalnie, ale to tylko do czasu. Góry przyczaiły się mściwie, czekając na sposobną chwilę . . .

Z początkiem kwietnia gruchnęła po Zakopanem wieść o pierwszym wypadku w żlebie Krzyżnego. — Wówczas jeszcze wyratowaliśmy śmiałków. — Potem już wypadki w tej partji posypały się jak z dziurawego worka, a prawie wszystkie w dziwacznych okolicznościach. Tu mgła zawiodła samotnego narciarza gdzieś aż na stok Wołoszyna, tam znowu inny, nie mogąc z nieznanych powodów przyhamować w zjeździe, ani nawet przewrócić się, zjechał po śmierć, w oczach patrzących z góry towarzyszy — prosto w Roztokę.

My jednak nie dawaliśmy za wygraną — wzięliśmy się za bary z mściwemi górami. — Co kilka dni wzywano telefonicznie Pogotowie, z mównicy w Roztoce. — Co kilka dni przywoziliśmy stamtąd odratowane ofiary katastrof, czasem pomasakrowane zwłoki.

Wreszcie gdzieś z końcem kwietnia, Krzyżne ucichło — odetchnęliśmy nieco. — Nie przeczuwał nikt, że mściwe góry zbierają się w sobie, by wypowiedzieć „ostatnie słowo".

Pamiętam jak dziś, ów dzień 6 maja — święciliśmy właśnie ćwierćwiecze istnienia Pogotowia. Na werandzie restauracyjnej w Dworcu Tatrzańskim czyniło się coraz weselej i różowiej, toast szedł za toastem — alkohol z równą siłą przenosił się do głów, jak i w nogi. Podniósł się zlekka już „zawiany", frywolny Ignac — kielich drgał mu leciutko w palcach: —

„Toast ten, rzekł, poświęcę najurokliwszej naszej przełęczy w lecie i najsroższej w zimie - przełęczy której otoczenie pochłonęło tyle ofiar, a nas tak wiele kosztowało trudu. — Piję na pohybel Krzyżnemu!"

Nie przebrzmiały jeszcze ostatnie jego słowa, gdy gwałtownie zadźwięczał dzwonek telefonu; podszedł kierownik Pogotowia — słychać było urywki rozmowy:

„Hallo! — kto? — Roztoka? — owszem — przy aparacie. Co? — znowu na Krzyżnem? — Owszem natychmiast wyruszamy — a kto mówi?“

Ale aparat już milczał — połączenie zostało przerwane. Ponownie wezwana centrala, odpowiedziała po krótkiej chwili, iż wywoływana w dalszym ciągu, mównica w Roztoce — nie zgłasza się . . .

Koło zasępionego Józia skupili się prawie wszyscy — posypał się grad pytań. —

„Coś niesłychanego, rzekł tenże — znowu wypadek w żlebie Krzyżnego! — I do tego niewiadomo nawet, w którem dokładnie miejscu. —

Zaczem ruszamy natychmiast — Henryk, Ignac, Jurek, ja i Wawrytko; nie wątpię, iż powrócimy choćby późnym wieczorem i honornie zakończymy dzisiejszy jubileusz. — Proszę sobie nie przerywać bankietu i czekać! —

Rozbiegliśmy się w mgnieniu oka — Ignac wyłączał już auto z garażu, do którego posypały się narty, raki, liny, łopaty, czekany i wreszcie najsmutniejszy przyrząd — topogan.

Dokoła była już wiosna — na Gorcu zieleniły się hale i kwitły w reglu na polanach — śnieżyste krokusy. — Nasz Super-Fiat brał w szalonym pędzie serpentyny Wirchporońca i sunął jak torpera przez Łysą Polanę; poznać było odrazu, że Ignac dzierży kierownicę.

Mignął graniczny most na Białce, w szalonym pędzie uciekła wstecz gajownia — jeszcze długa jak strzelił, aleja i — zazgrzytały hamulce — staliśmy przed mównicą telefoniczną przy Wodogrzmotach.

Ale budynek był zamknięty — widocznie dróżnik wyruszył jeszcze przed nami, w górę.

W dolinie Roztoki było już śniegu niewiele i Wodogrzmoty perląc się tysiącem kropel, huczały rozgłośnie wiosenną pieśnią zwycięstwa; dopiero na Hali przypięliśmy narty.

Ponad górną granicą lasu odsłonił się widok na zaśnieżony żleb Krzyżnego. Nie było w nim widać żadnych śladów i tylko w przejściu do Buczynowej zauważyliśmy świeże zerwisko lawinowe po potężnej desce śnieżnej, która, przeleciawszy przez kosówki, zastygła w dolnej części żlebu.

Ani chybi — taternicy! — rzekł Józio, chowając lornetę. — Schodzili chyba tą boczną grańką i chwyciło ich u dołu. — Mając tak szczupłe informacje telefoniczne, musimy wpierw zbadać cały żleb z otoczeniem; przecież gdzieś będą jakieś ślady —gdzież wreszcie znajduje się człowiek, prawdopodobnie uratowany uczestnik katastrofy, który telefonował do nas o wypadku? . . .

Zbadawszy powierzchownie zastygłą lawinę, zaczęliśmy się wspinać grzędą żlebu do góry. Liczne zakamarki śmiercionośnego „koryta“ wymiecione były prawie zupełnie. Gdzieniegdzie tylko spiętrzało się kilka luźnych brył zlepionej mokrym śniegiem, kosodrzewiny, gdzieś wyżej wyrwanej przez rozszalały śniegospad, górne partje żlebu, dyszały ponurą tajemniczością.

Jeszcze poniżej Buczynowej Dolinki, rozdzieliliśmy się; pozostałem sam, by przeszukać okoliczne pola kosówki, w którą, wolno tu jeszcze spadająca lawina, bardzo łatwo „wbić“ mogła, któregoś z uczestników katastrofy.

Na całe życie chyba, utkwiła mi dobitnie w mózgu owa godzina mrokliwego popołudnia wiosny. —

Przechodząc przez żlebisko, ku kosówkom, wspiąłem się na sterczący w jego środku, potężny głaz i spojrzałem w górę ku towarzyszom — posuwającym się w monotonnym pobrzęku czekanów . . .

I spostrzegłem wówczas, jak szeroki nawis śnieżny, drzemiący okrakiem na przełęczy od początku zimy — drgnął w zalewającem go morzu słońca i porywając za sobą falę śniegu, sunąć począł żlebem błyskawicznie w dół . . .

Zapóźno! — zapóźno! — szepnęły me zbielały wargi i w chwilę potem biała rzeka, porywając głazy i łamiąc kosówki, przewaliła się żlebem w straszliwym łoskocie . . . — Pęd powietrza omal nie zerwał mię z wątłej wysepki, której się kurczowo trzymałem. —

— Lawina umilkła w Roztoce, gdy do żlebu skulała się od przełęczy biała mgła i „głos Ignaca“ zaczął w niej wzywać rozpaczliwie i gdzieś, obok . . . ratunku . . .

Lecz nie dałem zwabić się w dno żlebu — dobrze wiedziałem, iż usta mych towarzyszy zamilkły przed chwilą już na zawsze!

Przymocowawszy się liną do wystającego z mej opiekuńczej grzędy głazu — czekałem . . .

Zerwał się ciepły podmuch gdzieś od Pięciostawów i przepędził mgły — słońce zstępowało coraz niżej ku graniom i cienie zachodu kładły się po dookolnych ściankach . . .

I nagle . . . — rozszalał się z powrotem cały żleb . . . — Białe potoki pędziły weń z wszystkich stron, sypały się z pod Wołoszyna i Kopy, spływały niemal każdym żlebkiem i rynną . . . — Ogarnęło mię z boków huczące morze, chcące zetrzeć śmiałka z wysepki i cisnąć w ślad za „tamtymi“. —

Przemijały długie jak wieczność chwile — bryzgi śniegu kłębiącego się w obu ramionach żlebu, biły po twarzy, ślepiąc i zalepiając usta — ciśnienie powietrza targało w wszystkie strony, uderzając raz po raz o głazy — zdało się niepodobieństwem ostanie na wychylającej się zaledwo skale . . .

Lecz lina wytrzymała — żleb ucichł wreszcie — późnym wieczorem dotarłem do Roztoki.

Następnego rana, gdy złote strzały słońca godziły właśnie w szczyt Koziego Wierchu — dokopaliśmy się w zastygłem rumowisku brył śnieżnych — swych czterech towarzyszy: Ignac jakby się uśmiechał żałośnie, a Henryk zapatrzony pod siebie, w głąb śnieżną, zacisnął w pięści, swe dłonie, zdając się jeszcze w ostatniej chwili grozić komuś . . .

*

Opowieść „pana Jurka“ przerwał jakiś daleki łoskot, który szybką gamą przeszedł w grzmot i wreszcie w potworny huk płynący gdzieś z nad Roztoki; jakby cały Wołoszyn przewalił się na któryś bok. —

Pan Jurek drgnął lekko, jakby przeszłość cała wróciła mu przed oczy i rękę wyciągając w stronę odgłosu, płynącego przez przestworza — rzekł:

„Słyszycie!? — to znowu odgraża się „ono“ — djabelskie Krzyżne!“ —

Dolina 5 Stawów Polskich — w styczniu.

Zlot Drużynowych Żeńskich Drużyn Harcerskich.

W dn. 14 do 25 sierpnia br. odbędzie się koło Brodnicy na Pomorzu Zlot drużynowych Żeńskich Drużyn Harcerskich. Celem zlotu będzie pchnięcie pracy drużyn na tory dalszego postępu zarówno pod względem ideowym, jak i technicznym. Zgłaszające się druhny zostaną podzielone na drużyny wedle wyboru. Każda z drużyn żyć będzie pełnem życiem obozowem, uwzględniając przytem jedną ze specjalności harcerskich, istnieć więc będą drużyny: krajoznawcza, obozownicza, terenoznawstwa, łączności, przyrodnicza, samarytańska, gospodarska, wychowania fizycznego, gier polowych i artystyczna.

Drużyny te nie będą miały za zadanie nauczyć się jakiejś specjalności, lecz zebrać doświadczenia i udoskonalić jej przeprowadzanie w programach pracy normalnej drużyny harcerskiej.

Szczegóły, związane ze zlotem, programy i wskazówki zostaną podane w marcowym numerze instruktorskiego pisma „Skrzydła“.

Z Chorągwi Śląskiej zgłosiło udział w zlocie ponad 50 instruktorek i drużynowych. K-da Chor. organizuje na zlocie pocztę.

M. K.

.USTAW MORCINEK.

Szczęść Boże!

Szczęść Boże!...

Tem prostem, a jasnem pozdrowieniem wita górnik swych towarzyszy na kopalni, kiedy wczesnym rankiem stanie z lampą przed windą, by zjechać pod ziemię. Wtedy zazwyczaj mroki zmieszane z dymami ścielą się jeszcze ponad skrzywdzoną ziemią, i jedynie nikłe światełka elektryczne, mżące w milczeniu u pułapu nadszybia, niecą w przygaszonych oczach ludzkich maluchne skierki złotawe.

O godzinie drugiej popołudniu przychodzi następna zmiana górników. Wtedy słonko idzie se wysoko po niebie, a przesączone przez burą kurzawę rozwleczonych dymów, sieje uwiędłą radość w serca ludzkie, że one się radują i dobrze im. A gdy winda zsunie się z suchym szelestem w głąb czerni szybowej, wtedy oczy na drobną chwilę zaniewidzą, mając w sobie jeno tę smugę radośliwego światła słonecznego. Często niema tego słonka. Bardzo często, bo chmurzyska przemierzłe je zakryły. Wtedy jakoś cięższej człekowi na sercu ale przynajmniej tyle dobrego, że lżej żegnać się ze wszystkiem, co na ziemi zostało.

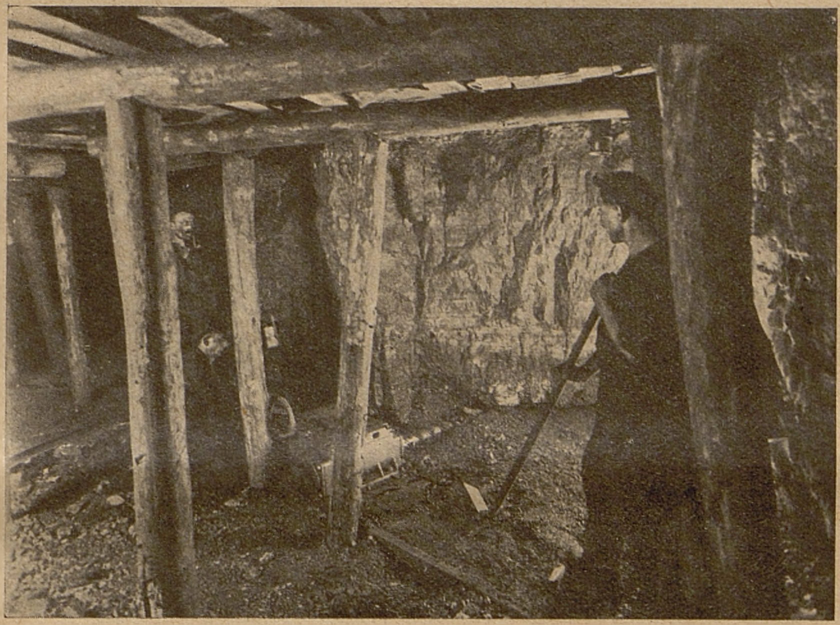
Wkońcu trzecia zmiana, szczupła już. Przychodzi w nocy, o godzinie dziesiątej i z jednej nocy przechodzi w drugą noc.

Gdy winda pogrąży się w czeluść szybową, a miękkie, aksamitne mroki zawrzą się ponad nią, niby wrota z czerni utkane, oczy roztwierają się szeroko poniewoli i patrzą, jak poprzeczne belki ocembrowania zapadają się w górę, szybko, bardzo szybko, że trudno je spojrzeniem uchwycić. Gwałtowny pęd windy czyni na człeku wrażenie, że podłoga z pod stóp umyka, a równocześnie wnętrzności podnoszą się, jakoby pod gardło, a w uszach szum powstaje. Przyćmione płomyki górniczych lampek lecą w żółtym, gromnicznym poblasku po oczerniałych ścianach betonowych studni szybowej, a spojrzenie ślizga się teraz po splątanych smużkach sczerniałej wody, co niewidocznemi szczelinami ścieka w głębinę.

Oczy stopniowo przywykają do rozrzedzonej ciemności, kontury i kształty widzianych przedmiotów nabierają mocy, a gdy nareszcie winda spocznie ciężko na stawidłach podszybowych, rozewrze się szeroko przed oczyma sklepione, ściemniałem wapnem powleczone podszybie.

— Szczęść Boże!... — mówi górnik, przestępując nachylony próg windy i stając na żelaznych płytach posadzki podszybowej. Wychodzi długi szereg postaci z klatki windowej, a każda to samo mówi. W dłoniach chwieją się lampy.

U obłego stropu leci rząd świateł elektrycznych, ujętych w szklane klosze i druciane kosze. Potem się urywa. Za niemi czerni ściana mroku, ciemniejszego od najciemniejszej nocy. Daleko jeno, gdzieś bardzo daleko jarzy się maluchne światełko, jedno, drugie, dziesiąte, kolebie się nieznacznie, i jakby znienacka zdmuchnięte, rozpływa w mrokach.



Kopalnia Hr. Laura: wiercenie otworów do założenia środków wybuchowych.

W podszybiu gmatwa się gwar licznych głosów, jazgot sygnałów, turkot wozów, pokrzyki jakieś, nawoływania, rozkazy, a wszystkie te głosy jakby zmięte, zszarzałe, bez echa. Rozchodzą się górnicy do swych przodków. Jedni tam, drudzy znowu gdzieindziej. Chwilę jeszcze idą przekopem, zanim się rozejdą.

W przeważnej części pokłady węgla ułożone są skośnie. Bywają i poziome, ba, nawet i pionowe, lecz to już bardzo rzadko. W caliźnie piaskowca wlecze się wykuty przekop naprzeciw idących pokładów, mija drugi i trzeci, czasem i dziesiąty. Dochodzi do ostatnich granic kopalni. To główna arterja kopalni. Miejscami niezabudowana, bo i po co, kiedy „zdrowy" kamień trzyma i niema obawy, by strop się rozpękł i rumowiskiem się zsypał. Gdy jednak przekop dochodzi do pokładu węgla, podbijają górnicy nawisłą powałę gęstym rzędem stempli, a gdzie i to nie pomaga, tworzą sklepienie z betonowych cegieł, które nie tak rychło ulegnie naciskowi stropu.

I jak drzewo ma główny konar, z którego wyrastają boczne gałęzie, a z nich jeszcze pomniejsze, tak samo i w kopalni onym głównym konarem będzie ów przekop, z którego wybiegają boczne tak zwane główne chodniki. — Gdy przekop dojdzie do pokładu węglowego, na lewo i na prawo idą ganki, budowane w węgluż Prowadzą one do pochylni. A każda pochylnia, jak sama nazwa wskazuje, leci nachylona do upadu. Musi być nachylona, kiedy przecież zbudowana jest w nachylonym pokładzie. A co kilkadziesiąt metrów roztwierają się ściany na boki i prostopadle do pochylni odbiegają od niej pomniejsze chodniki, dochodzące już teraz do samych przodków. Tam pracuje górnik.

Jeżeli pokłady są cienkie, wybierane są polami. Maszyny-wrębiarki podcinają ścianę węglową na przestrzeni kilkudziesięciu metrów, czasem nawet kilkuset metrów, a odwalone zwały węgla tłuką górnicy perlikami i zsypują do ruchomych rynien, wyciągniętych wzdłuż pola. Rynny te, poruszane specjalnemi motorami, podrzucają sobą rytmicznie, a wtedy węgiel posuwa się i posuwa, aż dojdzie w ten sposób do „gospody", gdzie zsypuje się do podstawionych wozów. Wozacze odciskają napełnione wozy do pochylni, jeżeli jednak odległość zbyt wielka, czyni to maszyna. Na pochylni przypina się wozy do liny, a haspel (duży bęben z natoczoną liną, poruszany powietrzem zgęszczonem lub elektrycznością) wyciąga wozy na główny chodnik. Stamtąd dostają się na przekop, gdzie je znowu maszyną odwożą pod szyb, a z pod szybu windą wydobywają na powierzchnię.

Dla własnego bezpieczeństwa górnik podbija strop stemplami Paste zaś przestrzenie po wybranym węglu podsadza rumowiskiem i zbitym kamieniem, buduje tak zwane kastliki ze starych stempli w kształcie sześcianu i wypełnia je kamie-

niem, lub też podsadza owe wyrobiska przez zamulanie. Rurami doprowadza się w owe miejsca wodę zmieszaną z drobno pokruszonemi żużlami czy piaskiem, a nawet gliną; materjał ten wypełnia szczelnie wszystkie przestrzenie w wyrobiskach, uniemożliwiając w następstwie zawalanie się stropu, a co za tem idzie, opadanie powierzchni ziemi.

W pokładach wysokich nie wybiera się węgla polami, lecz filarami. Zanim przystąpi się do wybierki węgla, przecina się pokład wzdłuż i wszerz chodnikami, czyli tak zwanemi przecinkami. Wskutek tego cały pokład przybiera podobieństwo jakoby rabatów, czy grządek prostokątnych, poprzecinanych regularnemi rowkami. Każda taka drobna część pokładu, ujętego z czterech stron chodnikami, nazywa się filarem. Wybieranie węgla rozpoczyna się od filarów najdalej wysuniętych, od granicy pokładu (uskoków) i stopniowo posuwa się w kierunku przekopu. Strop podbijają górnicy grubemi palami, nie tyle dla podparcia stropu, gdyż stemple te nie potrafiłyby utrzymać na sobie tak strasznego ciężaru, — ile raczej, dla tego, by pękające stemple ostrzegły pracującego górnika o grożącem zarwaniu się stropu.

Kiedy ów las stempli zaczyna złowrogo trzeszczeć i strzelać, a z pod stropu osypuje się drobny, skruszony kamień, raz tu, raz tam, czyniąc wrażenie, jakby ktoś rzucał garście żwiru, — wtedy szybko, jak najszybciej opuszczają wszyscy zagrożony filar. Bo nie długo czekać, jak w pewnej chwili zwala się strop w całym filarze, niecąc tumany pyłu, drzązgając stemple na szczapy i wywołując gwałtowne parcie powietrza, co gasi lampy i wywala drzwi w chodnikach.

Dlatego też nie można pracować we filarach wrębiarkami, ni używać owych ruchomych rynien dla transportowania węgla do gospód. Maszyny te bowiem czynią taki nieopisany hałas i zgiełk, że wszelki ludzki głos w nim ginie i domówić się jeno można w ten sposób, że się przykłada usta do ucha sąsiada i krzyczy się potrzebne słowa. A we filarach musi być przecież względna cisza. Bo jakżeby inaczej górnik usłyszał owo ostrzegawcze trzeszczenie stempli i suchy szelest osypujących się kamyków, gdyby maszyny krzyczały... Aniby się poznał, jakby runęła na niego powała i życie w tem okamgnieniu z kruchego ciała wygniotła i razem z maszynami pogrzebała.

Wejść w toku pracy do takiego przodku, to człowiek widzi jeno gęsty tuman pyłu, płynący nieprzerwanie, jak mgła w dzień jesienny, a wśród niego przyćmione płomyczki lampek górniczych, spocone, półnagie postacie ludzkie, czarne od pyłu, z błyskającemi białkami ócz.

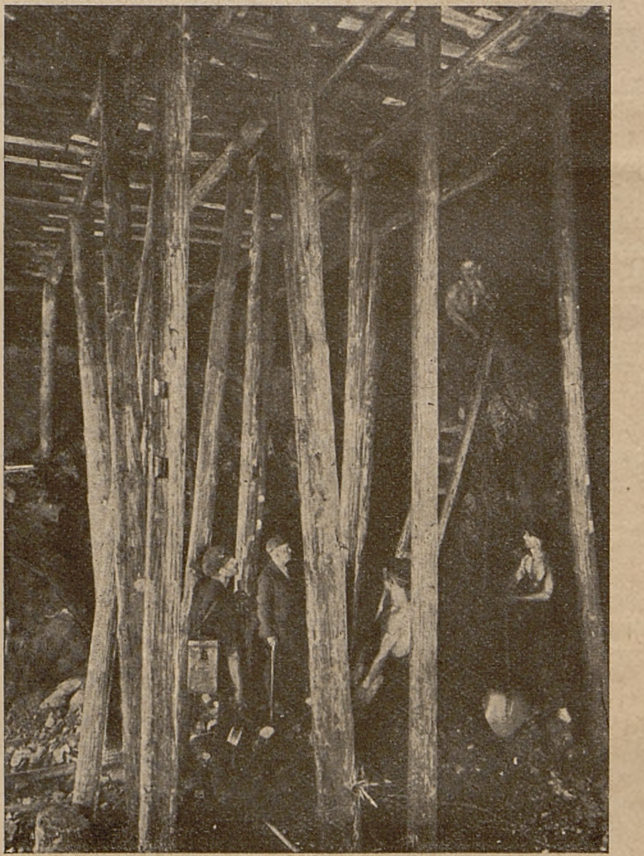
W kopalniach, wolnych od gazów wybuchających, używa górnik lampek ze światłem otwartem. Bezpieczniejszy się czuje przy pracy, bo ma mniej o jednego wroga, może najgroźniejszego. Ba, i fajkę może sobie spokojnie zapalić, czy też papierosa, a toć zawsze dla niego ulgą w ciężkiej pracy. Większy jednak trud dla niego, gdy pracuje w kopalni, w której są gazy wybuchające (metan, gaz błotny, CH“). Gaz ten, bezwonny i bezbarwny, wydobywa się z węgla, ze wszech stron, skupia się pod stropem i grozi nieoczekiwaną śmiercią górnikowi. Albo go dusi momentalnie, albo też czeka chwili, by się zetknąć z płomieniem. Wtedy wybucha i pali się niebieskawym płomieniem. Wówczas najwyżej osmali twarz i ręce górnika i gaśnie. Jeżeli jednak natrafi na żer dla siebie, na suchy pył węglowy, unoszący się w powietrzu, czy osiadły w warstwach po ścianach i stropie chodnika czy przodka, wtedy pył ten zapala gwałtownie, eksploduje z nieopisaną siłą i pędząc teraz po chodnikach morzem płomieni, niesie człowiekowi śmierć i zatracenie. Wywala drzwi, łamie stemple pokotem, jak wichura zboże wczas rozpętanej burzy, wyrywa szyny ze spongu i stacza przed sobą w pierścienie, ciska żelazne wozy na kupę, zmiażdża i zamienia w bezkształtną miazgę żelaziwa, zarywa stropy, wyrzuca windy ze szybu na powierzchnię i zmiata wieże wyciągowe, zamieniając je w bezkształtne rumowisko.

Człowiek ginie odrazu. Szybka jego śmierć, i biedaczysko nawet nie wie, kiedy nadleciała. Trwoga jednak i obłąkane przerażenie ściga tych, którzy znajdują się w gankach, gdzie nie przeszła nawała eksplozji. Szalony pęd powietrza uderza nimi o ściany, łamie nogi, lub też powolnie dusi czadem, który się ze wszech stron wsącza w chodniki, gasi lampy, dech zapiera, serce rozgniata w męce przedśmiertelnej.

Uciekają wtedy najbliższemi drogami do szybu, wracają się, gdy im drogę przedejdzie chmura wlokącego się powoli czadu, kołują, zmieniają drogi, rozbiegają się i przeważnie giną.

Wówczas występuje tutaj bohaterstwo górnika na jaw i jego pogarda śmierci. Zaopatrzeni w specjalne aparaty, dostarczające im tlen, schodzą w podziemie, by ratować swych braci, wydrzeć ich podstępnej śmierci. Z elektrycznemi lampkami w dłoniach, w hełmach dymowych na głowach, brodzą w nieprzeniknionej gęstwie rozkłębionych dymów, szukają, docierają do granic, gdzie już ogień szaleje, wynoszą z narażeniem własnego życia pobitych i zduszonych przez wybuch braci, cucą, do życia przywołują. A częstokroć nowy, a nieoczekiwany wybuch zabiera im życie, kładzie ich pokotem w zawalonym ganku, częstokroć grzebie na wieki.

Człowiek wówczas staje się bezsilny wobec rozszalałego żywiołu. Jedyny sposób uratowania kopalni od zupełnego zniszczenia przez pożar polega na tem, że wszystkie otwory do kopalni prowadzące, zamyka się szczelnie, ażeby najmniejsza odrobina powietrza nie dotarła wgłąb. Tych, co tam pozostali bez życia, a wydobyć ich nie było można, zostawia się. Wszak dotrą do nich, gdy szalejący pożar podziemny zcześnie podle, zduszony brakiem powietrza.



„Hrabina Laura“ w Chorzowie: siedmiometrowy filar.

HELENA ZAKRZEWSKA.

KIEDY BABCIA BYŁA MAŁA.

I.

Babcia chowała się w dużym, starym dworze. Dwór miał w sobie mnóstwo tajemnych skrytek i zakamarków, w których można było znakomicie bawić się w chowankę. We wszystkich tych zakamarkach coś straszyło. Ciemne komórki rozbrzmiewały dziwnymi piskami i stukotami. To jednak dodawało chowance uroku. Tak miło jest bać się czegoś nieokreślonego, czego właściwie wcale niema.

Stara niania mówiła coś o myszach, ale dzieci inaczej o tem myślały. Babcia wierzyła święcie, że to krasnoludki w czapkach-niewidkach uganiają tak z piskiem i chichotem po kątach ciemnych skrytek. Bo dlaczego, kiedy tylko ktoś starszy pojawiał się w pobliżu, hałasy cichły momentalnie, ale w obecności dzieci niewidzialne istoty nie krępowały się wcale i wyprawiały szalone zbytki? Aha!

Babcia marzyła o tem, żeby chociaż raz, na jedną małą chwilkę, zobaczyć żywego krasnoludka. Toteż starała się wszelkiemi sposobami zaskarbić sobie ich łaski. Wiedziała od niani, że krasnoludki są łakome. Oddawała im też chętnie wszystkie słodycze i łakocie, jakie na nią przypadały przy stole.

Wszystkie ciemne kątki w całym dworze pełne były maleńkich miseczek, garnuszków i talerzyków, na których babcia przygotowywała dla swych niewidzialnych przyjaciół wspaniałe uczty, składające się z kawałków cukru, czekolady, ciastek i orzechów. Krasnoludki widocznie mile przyjmowały te ofiary, nieraz bowiem zdarzało się, że zaledwie babcia odwróciła się na mgnienie oka, już z postawionej na ziemi miseczki znikał — tuż za plecami — kawałek czekolady lub okruch migdałowego ciasteczka.

Babcia nie traciła nadziei, że kiedyś krasnoludki oswoją się zupełnie i naraz wybiegną do niej ze wszystkich norek, żeby się z nią pobawić, wzamian za przysmaczki, które im znosiła. Krasnoludki jednak nie pokazywały się uparcie, za to ilość myszy w domu wzrosła niesłychanie. Myszy harcowały po kredensie, wygryzały w bochenkach chleba przedziwne groty i korytarze, kąpały się w garnkach z mlekiem, huśtały się na firankach i wogóle nic sobie z ludzi nie robiły. Dwa duże, wypasione koty nie mogły sobie z niemi dać rady. Zaś na słoninkę w pułapkach myszy wcale a wcale nie były łakome.

Babcia i dwie jej siostrzyczki nie posiadały się z radości. W czasie długiej, nudnej zimy, kiedy ogromne śniegi zawalały ogród i dziedziniec, zabawa z myszami stała się dla nich najulubieńszą rozrywką. Toteż w obecności dzieci myszy spacerowały sobie bez ceremonji po całym pokoju, bawiły się lalkami i gałgankami, toczyły przed sobą z ogromnym hałasem maleńkie wagoniki żelaznego pociągu, słowem, czuły się zupełnie, jak u siebie w domu.

Naprzykład jedna mała, czarna myszka piła zawsze mleczko z garnuszka babci, opierając się łapkami o uszko. Druga przychodziła do salonu regularnie w czasie ćwiczeń na fortepianie. Wdrapywała się na sąsiedni taburet i słuchała w nabożnem skupieni wszystkich gam, palcówek i melodyjnych „kawałków", których babcia uczyła się w pocie czoła.

Skoro jednak ktoś dorosły wchodził do pokoju, myszki znikały w tajemniczy sposób tak, że nikt się nie domyślał, jak bardzo są z dziećmi spoufalone.

Z początkiem wiosny przyjechała do dworu na dłuższy pobyt, nieznana dotąd dzieciom, ciocia Hortenzja. Była to dosyć złośliwa i zrzędna stara panna, nie lubiąca wsi, dzieci, ani zwierząt. To też niewielu w starym dworze znalazła przyjaciół. Ciocia Hortenzja nosiła grzywkę, fryzowaną nad czołem i strojne, jedwabne suknie z tiurniurą. Ta tiurniura

---

Po kilku miesiącach, gdy już ogień wygasł, schodzą górnicy w aparatach do kopalni, by rozpocząć żmudną, a niebezpieczną pracę, mającą na celu uruchomienie kopalni. Praca ta polega przedewszystkiem na doprowadzeniu do użytku wszelkich urządzeń, któreby zabezpieczały podziemiu prawidłowe przewietrzanie całej sieci chodników, przodków i starych wyrobisk.

W czasie tej pracy spotykają w ogorzałych gankach opalone zwłoki swych nieszczęśliwych towarzyszy. W trumnach wydobywają je na powierzchnię, by je złożyć na cmentarzu we wspólnym grobie.

Eksplozje tego rodzaju zdarzają się tylko w tych kopalniach — jak już wspomniano, — w których znajdują się gazy błotne. Dawniej bywały one częstsze, dzisiaj atoli, dzięki nowoczesnej technice i daleko idącym środkom ostrożności należą do ogromnej rzadkości.

Kardynalnym warunkiem usuwania gromadzącego się w podziemiu metanu jest dostateczne przewietrzane kopalni. Do tego celu służą specjalne szyby przewiewne, w których wentylatory wydobywają zużyte powietrze. Świeże powietrze wchodzi do kopalni szybem wjazdowym. Ażeby znów powietrze dotarło do najdalszych zakątków kopalni, buduje się drzwi, oszalowania, tamy oraz doprowadza rurami zgęszczone powietrze w potrzebne miejsca.

Lampki górnicze opatrzone są szkłem z podwójną siatką drucianą. Siatka ta ma tę własność, że chociaż górnik wejdzie do miejsca zagazowanego, to nie grozi zapalenie się gazów nazewnątrz lampy. Metan bowiem, wciskający się do lampy, zapala się w jej wnętrzu, a gęsta, podwójna siatka uniemożliwia wydostanie się płomienia nazewnątrz.

Ponieważ jednak przy odpalaniu zapałów dynamitowych, używanych do rozsadzania skał a czasem i węgla, wydobywa się płomień, który mógłby spowodować zapalenie się gazów, a w następstwie tego wybuch, starają się powietrze w danem miesjcu oczyścić silnym strumieniem wody, wytryskującym w formie gęstej mgły. Woda porywa za sobą powietrze, czyni mocny przewiew, wydala gazy, a równocześnie zwilża wszelki pył węglowy, stanowiący największe niebezpieczeństwo.

W ostatnich czasach zaprowadzają po kopalniach nowy sposób, unieszkodliwiania nagromadzonego pyłu węglowego; oto poprostu rozwiewają górnicy pod silnym strumieniem zgęszczonego powietrza drobniuchny a suchy pył ze skał płonnych (piaskowca). Przekonano się bowiem, że pył węglowy, nakryty pyłem skalnym, nie potrafi się zapalić.

(Dokończenie nastąpi).



była dla dzieci źródłem ciągłych uciech. Tiurniura, był to wzgórek, zrobiony z fałdów sztywnego materjału, który przypinano z tyłu pod spódnicą, tak, że suknia w ten miejscu tworzyła coś w rodzaju wcale obszernej kanapki.

Największą radością babci i dwu jej psotnych siostrzyczek było posadzić cioci nieznacznie na tiurniurze lalkę, albo małego kotka. Czasem tiurniura udekorowana była bukietem kwiatów, lub wianuszkiem niezapominajek. Ciocia, nic o tem nie wiedząc, przechadzała się majestatycznie po pokojach, napuszona i wystrojona. Domownicy zaśmiewali się pocichu, a dziewczynki tak umiały się ukrywać ze swojemi psotami, że nigdy żadnej na gorącym uczynku nie było można złapać.

Ciocia nudziła się na wsi straszliwie i w braku lepszego zajęcia, dokuczała wszystkim naokoło swojemi złośliwemi uwagami. Szczególniej dostawało się zawsze babci, która słynęła z roztargnienia. To też nie można powiedzieć, żeby babcia pałała zbyt gorącem uczuciem dla cioci Hortenzji. I ot, co z tego wynikło!

Pewnego ranka siedziała babcia na podłodze w kąciku dziecinnego pokoju i z rozczuleniem piastowała w fartuszku coś, co wydawało z siebie dziwne, cieniutkie piski. Obie jej siostrzyczki, pochylone nad nią, przyglądały się zawartości fartuszka z wyrazem zachwytu i... obrzydzenia.

— Brr... jakież to okropne! — mówiła, wstrząsając się, starsza siostrzyczka babci.

— Okropne, ale zarazem strasznie cudowne! — rzekła młodsza. — Patrz, patrz, te oczka! te malutkie, gołe noski! Jakie to śmieszne!

— Śmieszne i rozkoszne! — zachwycała się babcia. — Znalazłam to przed chwilą w łóżeczku mojej lalki. Co z tem zrobić?

— No, jak się starsi dowiedzą, to każą nam to natychmiast wyrzucić! — rzekła najstarsza z dziewczynek.

— Ach, jak to piszczy! Cóż to za wstrętne piski... wrzaski!... — powiedziała młodsza, naśladując głos cioci Hortenzji.

Dziewczynki parsknęły śmiechem.

— Wiecie co? — zerwała się nagle babcia z kolan tak żywo, że o mało nie wysypała z fartuszka tajemniczej jego zawartości. — Ciocia Hortenzja tak przepada za piskiem, zaszyjmy jej to do tiurniury!

— Brawo, brawo! Co za świetny pomysł! Zaszyjmy jej to do tiurniury! — zaczęły wołać siostry, tańcząc po pokoju i klaszcząc w ręce z radości.

Dziewczynki, uradowane pomysłem babci, natychmiast przystąpiły do dzieła. Związały w chusteczkę to coś, co piastowała babcia i cichutko pomknęły do pokoju cioci. Na szczęście, nie było jej w sypialni. Dziewczynki pochwyciły suknię cioci, rozwieszoną na krześle i w najwyższym pośpiechu wsunęły między fałdy tiurniury przyniesione zawiniątko. Parę szybkich ściegów — i sprawa była załatwiona. Dziewczynki wymknęły się z pokoju i chichocząc, przepadły w głębi domu.

Na śniadaniu było dziś liczne grono gości z sąsiedztwa, którzy zjechali się na imieniny pana domu. Wszyscy siedzieli już przy stole, kiedy pojawiła się ciocia Hortenzja, pachnąca i wyfjokowana, w swojej najpiękniejszej sukni w liljowe groszki. Posadzono ją na honorowem miejscu i panowie z sąsiedztwa gorliwie zabawiać ją poczęli.

Dziewczynki, siedzące skromniutko na szarym końcu, zauważyły, że zarówno ciocia, jak jej sąsiedzi, co chwila ze zdziwieniem oglądają się za siebie.

— Jak tu coś wstrętnie piszczy! — rzekła wreszcie ciocia rozdrażnionym głosem.

— Istotnie, coś się tu bezustanku odzywa, jak małe ptaszki w gniazdku. Ale gdzie tu może być gniazdko? — zauważył jeden z panów.

Wszyscy zamilkli, nastała chwilka ciszy i wtedy wyraźnie usłyszano cichutkie piski, płynące jakby z fotela cioci.

Przez cały czas śniadania ciocia kręciła się, jak na rozpalonych węglach, a im bardziej się kręciła, tem głośniejsze piski rozlegały się z fotela. Dziewczynki, czerwone z wysiłku, mało niepospadały z krzeseł, taki śmiech porywał je co chwila.

Wreszcie mamusia dała hasło do powstania. Ciocia Hortenzja zerwała się jak oparzona. W tej chwili piski odezwały się tak wyraźnie, że nikt nie mógł mieć cienia wątpliwości, skąd pochodzą. Piski wydawała... tiurniura cioci. Goście zaczęli przygryzać wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Ciocia Hortenzja w wielkiem wzburzeniu, ukryła się za kotarą, w wielkiej framudze ściennej, która służyła za skład naczynia. Tu uniosła pospiesznie swoją paradną suknię w liljowe groszki i zaczęła badać skrupulatnie wnętrze nieszczęsnej tiurniury.

Goście, powstawszy od stołu, rozmawiali jeszcze, stojąc grupkami naokoło stołu. Nagle przeszył powietrze przerażający, dziki wrzask! Z poza kotary wyskoczyła na środek pokoju ciocia Hortenzja, śmiertelnie blada, z toaletą w malowniczym nieładzie. W kurczowo zaciśniętych palcach trzymała coś... coś okropnego, co poruszało się mnóstwem małych pyszczków i nagich ogonków. To coś, splątane w szary kłębek, piszczący, ciepły i ślizki, to było gniazdo młodych myszek, które przyszły na świat przed kilku godzinami. Ciocia, z oczami, wyłażącemi na wierzch z przerażenia, skakała po pokoju, wrzeszcząc dziko, a myszki w jej palcach piszczały coraz przeraźliwiej.

Ryk śmiechu odpowiedział na jej krzyki. Goście popadali na krzesła, tarzając się w napadzie szalonego śmiechu. Ciocia upuściła wreszcie na ziemię nieszczęsne mysięta i wołała teraz ochrypłym głosem:

— Taka zniewaga! Taka obraza! Wyjeżdżam!... Zaprzęgajcie natychmiast! Niech pakują moje kufry! Wyjeżdżam! To ładne gospodarstwo! Nie chcę was znać więcej!

Dziewczynki, nie czekając dłużej, pocichutku wyniosły się z jadalni.

W pół godziny potem — powóz, obładowany kuframi, toczył się szybko po alei parku, uwożąc rozgniewaną ciocię, która wciąż machała parasolką i wołała na furmana:

— Prędzej, prędzej, ty gamoniu!

Tymczasem zaś we dworze zawrzała straszna, niszcząca praca. Wszystkie dziewki folwarczne spędzono do dworu na robotę. Odsuwano meble, przeszukiwano ze światłem wszystkie ciemne kąty. Gdziekolwiek ukazała się jakaś mysia dziurka, sypano do niej mnóstwo tłuczonego szkła i zatykano ją gliną, zmięszaną z naftą.

Dziewczynki z płaczem przyglądały się tej robocie. Najbardziej rozpaczała babcia, której siostry nie szczędziły gorzkich wymówek.

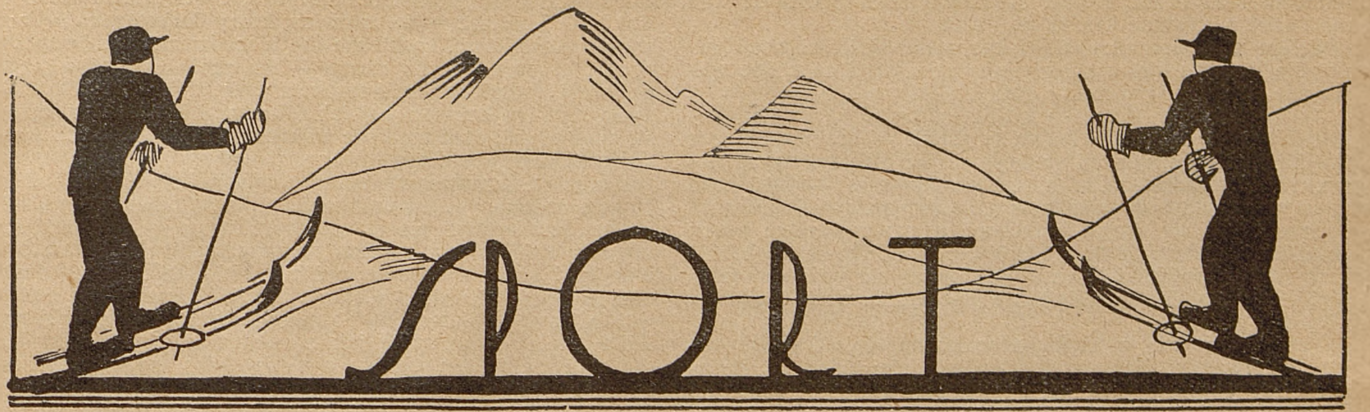
— To wszystko przez ciebie! — mówiły. — To twój mądry pomysł sprowadził nieszczęście na nasze biedne myszki.

Babcia połykała łzy w milczeniu...

Kiedy jednak ustała niszczycielska praca i w domu zapanowała cisza, babcia, siedząca smutna w kąciku dziecinnego pokoju, podniosła nagle głowę. Tam... za komodę... słychać było wyraźnie: chrup... chrup... chrup...

Babcia rzuciła się na ziemię, wsunęła się całem ciałem pod komodę i zaczęła palcami odłupywać tynk ze szpary nad podłogą. Chrupanie na chwilkę ucichło, ale potem pojawiło się znowu. I nagle... w ciemnym otworze zobaczyła babcia pyszczek jeden... drugi... i oczka, błyszczące jak małe, czarne paciorki.

Skok do kredensu... garść cukru... parę pierników... i oto wszystko znów było w porządku. Myszy przebaczyły babci wspaniałomyślnie i z triumfem powróciły do raju z którego je na chwilę wygnano.



HOKEJ DLA WSZYSTKICH.

Kot, gdy spada — na łapy spada, harcerz, gdy coś postanowi — pomimo braku pieniędzy osiągnie!

Hokej. Prześliczna, zdrowa, zajmująca gra na lodzie. Zdrowa, bo — powietrze, mróz, słońce, ruch; zajmująca, bo — czy oni nam wpakują krążek do bramki, czy my im? Oj, napewno my im!

Co trzeba mieć, by uprawiać hokej? Spróbujmy wyliczyć: dobre boisko, specjalne łyżwy, specjalne buciki, specjalne ubranie, specjalne ochraniacze, specjalny kij i . . . specjalnie dużo pieniędzy! — Chyba dosyć, by każdego od hokeja odstraszyć za wyjątkiem brata mego (każdy harcerz podobno jest moim bratem), bo tego człowieka żadnem wyliczaniem nie zastraszę: postanowił grać w hokeja i zagra, jestem tego pewien.

Przepisy hokejowe mówią, że boisko winno mieć wymiary 30 mtr. na 60 mtr. Harcerz ma nieco inne, albo nawet wcale go nie ma; jeśli ma mniejsze, będzie na takiem uprawiał hokej, jeśli ma większe — odpowiednio go zmniejszy, gorzej, jeśli biedaczyna drużynowy wogóle nie ma ani stawu, ani rzeki, ani jeziora, ani morza, ani innego oceanu zamarzniętego! Tu już żaden dowcip nie pomoże, chyba wyrównanie podwórka szkolnego i urządzenie na nim wspaniałej ślizgawki. Jeśli dzielny — napewno tak, lub podobnie zrobi, jeśli fujara, to i na zwykłym lodzie się wywróci.

Jest tylko jedna potęga, którą ujarzmić, mimo tysiącleci, nie może biedna ludzkość, a więc i plemię harcerskie do tejże ludzkości niegodnie się zaliczające — oto jeśli matka Przyroda rozzłoci się słońcem i sprowadzi nam w lutym słowiki z zagranicy, skapitulujemy wszyscy i zaczekamy do następnej zimy, albo wyprosimy u rządu, społeczeństwa lub innej groszodajnej organizacji, by urządziła nam sztuczną ślizgawkę, na której nawet w dnie upalne moglibyśmy się ślizgać.

Miejmy jednak nadzieję, że zima nie tylko będzie łaskawą dla biednych tego świata, którym oszczędza węgiel i inne paliwo, lecz i nam młodym utnie fest mróz ot, choćby ze 20°.

Lód już jest. Przepisy mówią, że trzeba boisko ogrodzić, bo krążek niecnota, mocniej kijem ruszony, zwieje na krańce świata, mówią one dalej, że ogrodzić boisko należy bandami, czyli deskami w specjalny sposób złączonemi, my zaś twierdzimy, że wystarczy wał śniegu, innemi słowy ogrodzimy boisko śniegiem

Kompletnie ogrodzone i zamiecione boisko już jest, potrzeba teraz bramek.

Bramki można w rozmaity sposób spreparować, począwszy od dwóch przejść, wywierconych w krótszych wałach śnieżnych, przez które jakgdyby pozwolimy naszemu więźniowi, krążkowi, czmychać poza boisko, a skończywszy na bramkach, zabezpieczanych z tyłu specjalną siatką, specjalnie malowanych i specjalnie ustawianych na lodzie o 2 mtr. od granic tylnych boiska Niedogodność pierwszego typu bramek jest ta, że będą one wbrew oficjalnym przepisom umieszczone nie wewnątrz boiska, lecz w jego tylnych ścianach, przez co umożliwi się ciekawą walkę poza — bramkową, niedogodnością drugiego typu bramek będzie, wiadomo co, — ich cena. Dzielny przyboczny, któremu Rada Drużyny poruczy przeprowadzenie hokeja, postąpi w ten sposób, że wbije dwa drążki w lód, w odległości 2 mtr. od granicy śnieżnej, na sz. rokość 1 mtr. 83 cm. od siebie (drążek od drążka), połączy te drążki na wysokości poprzeczką i nie pozwoli strzelać od tyłu bramki, twierdząc, że każdy z graczy powinien wyimaginować w swojej bujnej wyobraźni, że ta wspaniała bramka jest zabezpieczona od tyłu jeszcze wspanialszą siatką.

Lód jest, boisko jest, bramki są — brak jeszcze kijów, krążka i graczy. Ee, nie! graczy to napewno nie zabraknie, chyba łyżew i ochraniaczy.

Zacznijmy od kijów a skończymy na ochraniaczach.

W hokeja gra się specjalnemi kijami (wszystko w hokeju, jak widzimy, jest specjalne) zakrzywionemi na końcu. Kijów takich potrzeba 12, każdy z nich kosztuje najtaniej 10 zł., co razem stanowi pokaźną sto dwudziesto złotową sumę, którą śmiało można użyć na potrzebniejsze wydatki, jeśli zamiast kanadyjskich, użyjemy krajowych, ściślej — kijów własnego wyrobu. Istnieje na świecie spółka z nieograniczoną odpowiedzialnością pod szumnym tytułem R. S. J. M. Każdy z największą łatwością odcyfruje ten skrót, ponieważ Radził Sobie Jak Mógł wiele razy, teraz również radzi sobie jak może: zwykły patyk, zakrzywiony na końcu,*) gałąź półokrągła, kawałek deski z dosztukowanem zgięciem, własnoręcznie wyciosany i wyheblowany kij, składający się z dwóch części — wszystko to może być zupełnie niezłą imitacją prawdziwych kijów, najlepiej jednak kupić t. zw. juniory po 6—8 zł. sztuka. Kij taki odrazu należy wzmocnić, szczególnie w zgięciu, przybijając wzdłuż zgięcia dyktę z obu stron kija lub obwiązując go taśmą izolacyjną w tem miejscu i na rączce. Bramkarze mają kije innego nieco kształtu, jak gracze, wobec czego zaleca się odwiedzić najbliższy sklep sportowy, kupić dwa kije bramkarskie i jeden dla gracza, na którym wzorując się, inni potrafią sami sobie spreparować.

Krążek, o wymiarach 7,6 cm. średnicy i 2,5 cm. grubości z wulkanizowanego kauczuku kosztuje 4 zł., własnej roboty z drzewa jest znacznie droższy ze względu na to, że wymaga zaradności i dzielności, a przecie o to trudniej, niż o 4 zł. Można również dobrze grać, a nawet przyjemniej, ponieważ przy zderzeniu nie zostawia po sobie siniaków, bo jest miękką, kawałkiem gumy albo dużą „Myszką" do rysowania.

Krążek również jest, prawda?

Czegoż nam jeszcze brak? Prawdopodobnie łyżew. Hokej wymaga . . .

W tym miejscu przerwę, a to dlatego, że każdy z czytelników domyśla się i tak, że wstawię tu określenie „specjalnych" łyżew, lecz ja napiszę dalej zupełnie co innego: . . . zwykłych łyżew!

Nikt nie wątpi w to, że lepiej jest na hokejowych łyżwach grać w hokeja i mieć specjalne buciki, strój łyżwiarski itd. itd. itd. — nikt w to nie wątpi, lecz gdybyśmy czekali na mannę z nieba, tobyśmy wogóle nigdy nie grali w hokeja: raz, dwa, trzy! — i na zwykłych łyżwach marsz na boisko hokejowe!

Z ochraniaczy najbardziej niezbędne są nagolanniki w cenie 4 zł. para; wkłada się je pod zwykłą pończochę. Zamiast nagolenników można zawrzeć umowę ze współgraczami, składającą się z dwóch punktów: 1. każdy stara się grać, nie krzywdząc innego, czyli: nie podnosząc kija przy uderzeniu krążka ponad lód a sunąc po nim, po jego powierzchni i 2. jak ktoś oberwie guza, to nie jęczy, lecz gra dalej i się śmieje: cha, cha, cha!

W grze biorą udział duże drużyny po 6-ciu graczy każda: bramkarz, dwóch obrońców i trzech w napadzie.

Grę rozpoczyna sędzia ze środka boiska, rzucając krążek pomiędzy środkowych napastników, ustawionych lewym bokiem do bramki przeciwnika, przyczem napastnicy trzymają kije oparte o lód w odległości 50 cm. jeden od drugiego. Po

*) Nie śmiejcie się naiwni — podpisany takim patykiem grywał wiele wiele razy i stwierdza, że więcej doznawał radości, niż teraz, gdy prawdziwy „kanadyjczyk" czeka na zawołanie.

dotknięciu lodu przez krążek środkowi mogą poderwać kije i rozpocząć posuwanie krążka po lodzie.

Celem gry jest zdobycie jaknajwiększej ilości punktów, które się liczą za każde zdobycie bramki, czyli za każde wepchnięcie krążka do wnętrza bramki.

Żaden z graczy nie może krążka posuwać po lodzie jakąkolwiek częścią ciała lub łyżwą (wyjątek — bramkarz), lecz tylko kijem i to w pozycji stojącej, mając obie łyżwy na nogach. Jeśli upadnie, albo oprze się kolanem — nie może w tym momencie brać udziału w grze (wyjątek — bramkarz).

Bramkarza nie wolno atakować, a nawet, wobec braku ochraniaczy, należy zaprowadzić pole bramkowe, podobnie jak w szczypiorniaku i hazenie, z którego nie wolno strzelać bramki. Normalnie wyniesie takie pole 2 mtr. wbok i wprzód od bramki.

Przepisy mówią pozatem o spalonym, opis którego pominę, ponieważ w pierwszym roku gry nie radzę go stosować: jest uciążliwy, nudny i wymaga dobrego sędziego, zresztą wszystkich, którzy specjalnie interesują się hokejem, odsyłam do dwóch broszurek — jedna, wydana przez Polski Związek Hokeja na lodzie i druga — napisana przez kpt. Prochowskiego, por. Grodzkiego i Tad. Paczkowskiego p. t. „Hockey na lodzie".

Hokej nie zna ani autów (zatrzymują krążek bandy lub wały ze śniegu) ani wolnych, jedynie za pewne przekroczenia stosuje się ciekawy sposób „karnego urlopu" na minutę, dwie, trzy itd., a nawet całkowite usunięcie z gry.

Minutę daje się zwykle temu graczowi, który popchnie krążek łyżwą, ręką, i kto przetrzyma krążek łyżwą lub jakąś częścią ciała; dwie minuty temu, kto rzuci kij, niechcący podstawi nogę, kto podniesie zbyt wysoko kij itd. Żadnych szablonów tu nie ma — sędzia decyduje tak, jak mu nakazuje jego własne sumienie.

Gra trwa 3 razy po 15 minut z przerwami dziesięciominutowemi.

Na zakończenie zwrócę uwagę na dwa punkty, których w oficjalnych przepisach niema ponieważ nie uwzględniają one tego, że niektórzy mogą grać bez ochraniaczy.

Pierwszy. Należy kategorycznie zabronić podnosić kij wyżej biodra, obojętne, czy to będzie w momencie uderzania krążka, czy też posuwania się naprzód.

Drugi. Należy zabronić strzelać krążek ponad lód, a więc posuwać go w powietrzu — czyli uznawać tylko taką bramkę za strzeloną, która została zdobyta krążkiem, posuwającym się po lodzie.

Nie stosowanie tych, a może i innych ograniczeń, które ostrożny drużynowy uzna za potrzebne wprowadzić, może narazić graczy na poważne uszkodzenie.

Pamiętajmy, że nie mamy floty, lecz mamy ochotę.

Oskar Zawrocki.

KRYSZTAŁOWY SPORT.

To w jednem, to w drugiem piśmie można wyczytać zapowiedź urządzanych kursów narciarskich; ten i ów przebiegnie oczyma suchą notatkę, że tam i tam, w takim to czasie odbędzie się kurs narciarski, opłata wynosi tyle to złotych, i koniec. Przebiegł oczyma i szuka dalszych, ciekawszych notatek, kurs narciarski mało go obchodzi.

A ci, co urządzają takie kursa, wiedzą co robią, zdają sobie jasno sprawę z tego, że narciarstwo robi postępy, zagarniając w swoje szeregi coraz większy zastęp miłośników tego sportu.

*

. . . Niebotyczny to sport! Dumnie wznosi swoją białą śnieżną koronę, najczystszem poi swoich adoratorów powietrzem, złotolitem grzeje słonkiem i mocny halnemi wiatrami, lawinami groźny a cudny nieskończonością cudów potężnych gór, cierpliwie czeka na coraz to nowych niewolników.

Bo ten, kto chociaż raz spróbował zjazdu, lub chociaż raz stał samotnie na szczycie góry i u nóg swoich widział fantastyczne, pocięte w przedziwne kształty sąsiednie grzbiety, ten napewno został powolnym niewolnikiem białego sportu.

Tam, nad głową — błękit nieba, a w dolinie — domki z kart i mrówki, mrówki, mrówki, co pełzną gdzieś, zwracają, coś niosą, wiozą, coś tam robią — ale mrówki!

Pierś rozsadza nieznane nizinnym ludziom uczucie bliskości dziewiczej przyrody. Zwały drzew piorunami, burzami splątane między sobą w nieprzeparty, przez nikogo nieprzekroczony mur, lub gładkie, czyste polany, stoki, zbocza, z których się zjeżdża błyskawicą, z oczami pełnemi łez, z drżeniem lęku i z radością szczęśliwego końca.

Albo śmiech! Narciarz śmieje się, gdy sam kozła fiknie, lub któryś z przyjaciół mocno utkwi głową w śniegu. Narciarz śmieje się głośno, młodzieńczo, choćby miał sześćdziesiąt lat! Narciarz — to człowiek, który daleko poza sobą zostawił małostkowe, codzienne lub niecodzienne swoje sprawy, a całą duszą oddał się matce — naturze! Ona to wywołuje na twarzy uśmiech, krasi mrozem policzki i każe każdą ścieżynką, lśniącą barwami najpiękniejszemi, i krzaczkami każdym się zachwycać, czuć mu każe znikomość i fałsz ludzkich spraw, a nieskończoną wielkość swego majestatu!

I biały, kryształowy sport przebiera między ludźmi łaskawem rzucając okiem wyłącznie tylko na odważnych i dzielnych. Narciarstwo nie znosi tchórzliwych — sto razy każe takiemu upaść, narty połamać, pozbawia swych boskich przywilejów i ani lotu skoków, ani kristjanię, ani telemarków nie oddaje w służbę tym, co tchórzliwego są serca.

Odwagi! Dzielności! Tętniącej siły żąda królewski sport i dla takich tylko sypie jak z rękawa swojemi dobrodziejstwami: zdrowiem, ciemną opaloną skórą, budzącą zachwyt mieszczuchów, radość życia, zapomnienie trosk, i daje zachwyt, który człowiek zagubił gdzieś, zaprzepaścił w zakamarkach własnego życia, i daje piękno, jakie tylko w pierwszej miłości dziewczyny do chłopca czarnego, rumianego istnieć może!

Ej, narciarstwo, narciarstwo! Ze sportów sporcie najwyższy! Nie darmo niebotycznym ciebie zowią, królem sportów nazywają i z radością idą w twój słodki jasyr! . . .

*

Kto raz dotknął nartą śniegu, ten inaczej będzie czytać zapowiedź mającego się odbyć kursu. Nie każdy ma możność co rok jeździć w zimie do Zakopanego lub Worochty i uprawiać tam narciarstwo, to też z radością wita możność uzupełnienia swych technicznych narciarskich wiadomości i spędzenia na kursie paru tygodni za niewielką opłatą.

Narciarstwo jest najszczytniejszem ćwiczeniem, łączącem w sobie pierwiastki siły, piękna, zdrowia, zręczności i odwagi, lecz narciarstwo pociąga za sobą dość znaczne wydatki, i dlatego, pomimo swoich walorów, narciarstwo nie może pójść w masy dopóty, dopóki nie rozszerzy się działalność wojska w tym kierunku.

Wojsko już i tak bardzo dużo daje, organizując coraz częściej rozmaite kursa dla początkujących, lecz może zrobić jeszcze więcej, nie narażając skarbu państwa na tak znaczne wydatki, jak subsydjowanie takich kursów, a to przez wypożyczanie sprzętu narciarskiego rozmaitym klubom i organizacjom, które we własnym zakresie mogą urządzać lokalne kursa, lub wprost mogą trenować w danej miejscowości.

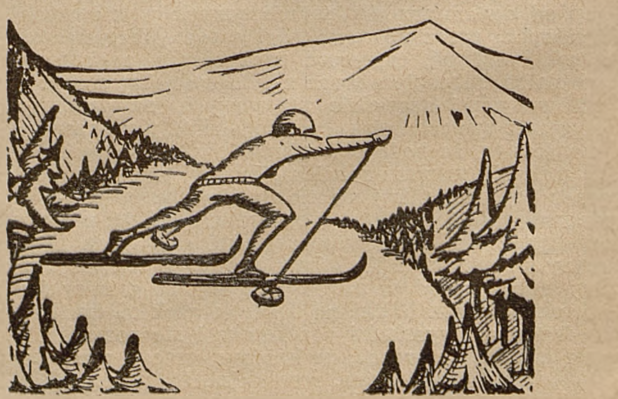
Bezwątpienia, nasza równina nie da setnej części tego, co da narciarstwo uprawiane w górach, jednak nawet w naszych warunkach ten sport zdobędzie wielu gorących zwolenników, należy go tylko nieco spopularyzować i udostępnić szerszej warstwie ludności.

Podobno w niektórych D. O. K. znajduje się bardzo dużo sprzętu narciarskiego zupełnie nie używanego od paru lat. Jeżeli tak jest istotnie, to możnaby ten sprzęt wykorzystać, a wynik byłby i pod względem zdrowotnym i pod względem wojskowym bardzo dobry, gdyż ćwiczenia narciarskie równinne, albo lekko zjazdowe, jedynie możliwe w naszych warunkach, są ćwiczeniami bezsprzecznie wskazanemi z punktu widzenia ćwiczeń cielesnych i higjeny, a zaznajamiając młodzież z narciarstwem, jednocześnie szkolimy ich do przyszłej służby wojskowej (łącznictwo w zimie).

Tak. Sport narciarski żąda ofiar, ale daje tak dużo, że zawsze będziemy jego dłużnikami. Wyraźnie daje zadowolenie estetyczne, jest wspaniałym higjenistą i wychowawcą, a żąda tylko . . . pieniędzy!

Pieniędzy król żąda — trudno!

Z. T.



Zima u skautów norweskich.

(Wyjątki z listu).

Lato norweskie trwa niedługo, a bardzo jest krótkie, jeśli się uwzględni czas, w którym istnieje możliwość pobytu w obozie. To też n. p. skauci w Oslo posiadają (20 km. od miasta) własne schronisko na 100 łóżek, dokąd przez cały rok urządzają wycieczki w soboty i niedziele. Większość drużyn zapewniła sobie ponadto prywatne schroniska. W ten sposób mamy możność utrzymania ciągłości turystyki.

Nie spotykamy się tutaj wcale z trudnościami wprowadzenia sportu narciarskiego. Każdy chłopiec norweski już przed wstąpieniem do ruchu skautowego nauczył się biegów narciarskih. Każdy, mężczyzna czy kobieta, dorosły czy dziecko, wykorzystuje niedzielę zimową na wycieczkę w las lub w góry, zwłaszcza na Boże Narodzenie, a szczególnie na Wielkanoc.

Przez całą zimę urządzane bywają popisy narciarskie z biegami i skokami.

Biegów długodystansowych nie uprawiamy z uwagi na łatwość przemęczenia. Polecamy natomiast bieg „Slalom“, t. j. długi bieg na terenie stale opadającym.

Wymagania nasze do uzyskania oznaki sprawnościowej „narciarza“ są następujące:

1) Znajomość biegu „Slalom“.
2) Biegłość w skokach (skok bez upadku conajmniej 12 m.).
3) Znajomość najważniejszych prawideł narciarskich.
4) Przedsięwzięcie conajmniej 5 wycieczek narciarskich na 20 km.
5) Improwizacja transportu nartami, oraz demonstracja ratownictwa na słabym lodzie.
6) Naprawa nart i wiązań.

Najważniejszemi zamierzeniami wychowawczemi przy osiągnięciu oznaki „narciarskiej“ są: wyrobienie poczucia solidarności, orjentacja w terenie, ponadto nauczanie umiejętności budowania schronów śnieżnych. (W takim schronie bardzo mile można spędzić noc). Przystosowanie nart do transportu uskuteczniamy przez ułożenie 4 nart obok siebie i połączenie ich na przedniej części oraz w środku. Na deski kładzie się następnie jedlinę, ubrania itp.

Zimowe wycieczki urozmaicamy najrozmaitszemi ćwiczeniami. Podał J. G.

O harcerskim „Domku pod blachą“.

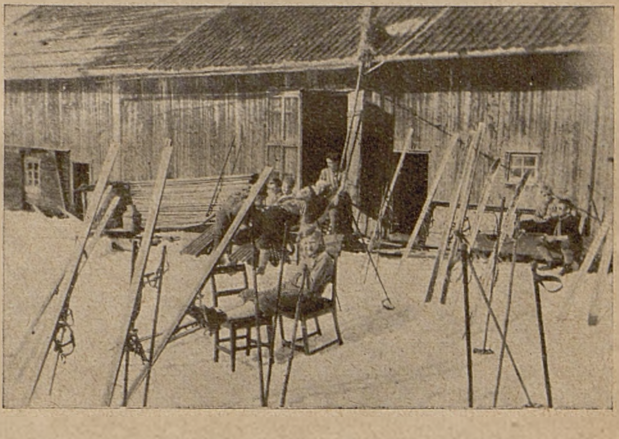
Jest w Katowicach żelazny barak przy ul. Szafranka, własność Województwa, złożony z dziesięciu pokoików, halu i przedpokoi. Ten to domek, dzięki poparciu Pana Wojewody Śląskiego, wynajęła Komenda Chorągwi Żeńskiej i od jesieni ubiegłego roku harcerki katowickie gospodarują już tam nadobre. Na cóż harcerkom tak obszerny lokal — czy tyle jest drużyn w Katowicach, pytacie. Otóż harcerkom lokal ten służy nietylko dla własnej ich pracy, lecz przedewszystkiem na założenie nowej placówki: „Świetlicy“ dla dziewcząt pracujących.

Ilość dziewcząt, grupujących się w drużynach, jest stosunkowo niewielka w porównaniu z rzeszą młodzieży, potrzebującej opieki i kierunku. A najbardziej potrzebują jej te dziewczynki, które od wczesnych lat zmuszone do pracy zarobkowej, pozbawione są dobroczynnego wpływu szkoły, a często i domu rodzinnego. Takim dziewczynkom potrzebne jest miejsce, gdzie swobodnie mogłyby spędzić czas po skończonej pracy, gdzie znalazłyby wypoczynek, rozrywkę i uzupełnienie brakującego wykształcenia. Im w pierwszym rzędzie należy się pomoc i opieka ze strony harcerek. To też ożywione myślą o nich, wzięły się do pracy instruktorki pod kierunkiem hufcowej katowickiej. Zawiązano specjalny komitet „Domku pod blachą“, do którego wciągnięto też szereg osób z poza harcerstwa, odnowiono i urządzono lokal i mimo skromnych funduszów przystąpiono do pracy.

Zwróciłyśmy się przedewszystkiem do młodzieży szkół zawodowych, gdyż ta wkrótce po ukończeniu szkoły stanie się właśnie tą młodzieżą pracującą, a przyzwyczaiwszy się do „Świetlicy“ za szkolnych czasów i później zostanie pod jej opieką. To samo odnosi się do dziewcząt z najstarszego rocznika szkoły powszechnej czy wydziałowej. Z młodzieży tych szkół zgłosiło się około 130 dziewcząt, które podzielone na cztery grupy, zbierają się co tygodnia pod kierunkiem instruktorek. Każda grupa sama układa swój program zajęć, wybiera z pośród swego grona sekretarkę i skarbniczkę. Na zebraniach dziewczynki czytają, śpiewają, mają pogadanki, nawet tańczą przy dźwiękach gramofonu. Każda z grup osobno urządziła sobie „Mikołaja“ i „Gwiazdkę“. W świetlicy mają też dziewczynki wiele pism młodzieży, które mogą czytać na miejscu i bibljotekę, gdzie pożyczają książki do domu. Gdy tylko fundusze pozwolą, zostanie zakupiona maszyna do szycia i uruchomiony warsztat kilimkarski. Będzie to jeszcze jedna pożyteczna atrakcja, przyciągająca dziewczynki do Świetlicy.

Nie chcemy jednak poprzestać na uczennicach, które dopiero zaczną pracować zawodowo — chcemy widzieć w „Świetlicy“ przedewszystkiem te dziewczynki, które już samodzielnie borykają się z życiem. Zwróciłyśmy się do fabryki porcelany firmy Giesche S. A., gdzie pracuje kilkaset młodych dziewcząt i oto mamy już blisko setkę zgłoszeń. Jak pójdzie praca wśród tych młodych pracownic, napiszę w jednym z następnych numerów.

Dnia 7-go grudnia ubiegłego roku — przeżywał nasz „Domek pod blachą“ uroczyste chwile — odbyło się mianowicie poświęcenie i oficjalne otwarcie „Świetlicy“. Przybył P. Wojewoda Śląski i cały szereg gości ze starszego społeczeństwa — wszyscy zgromadzili się w odświetnie przybranym „halu“.



Zima skautów norweskich: w słońcu.

Po przemówieniu przewodniczącej komitetu „domkowego“ druhny Kapiszewskiej, zabrał głos P. Wojewoda, podkreślając ważność pracy harcerskiej i wychowawczej wśród młodzieży, poczem przeciął wstążkę, zamykającą drzwi „Świetlicy“. Teraz goście weszli do salki, a ks. kapelan Milik przemówił w serdecznych słowach i poświęcił lokal. Potem jeszcze komendantka Chorągwi druhna Laszczkówna określiła zadania „Świetlicy“, zaznaczając, że dążyć będzie, by „Świetlica“ katowicka, będąc pierwszą tego rodzaju placówką w Chorągwi, dała początek szeroko pojętej pracy wśród młodzieży pracującej.

Dalszą część wieczoru wypełniły deklamacje i śpiewy oraz tańce harcerek i dziewcząt ze „Świetlicy“, a wreszcie parogodzinna miła pogawędka przy zastawionych w halu stołach.

Wkońcu wyliczę, co mieści się w „domku“: a więc prócz „Świetlicy“, bibljoteki i czytelni osobny pokój na warsztaty, prócz tego mieszka w „domku“ kierowniczka „Świetlicy“ druhna phm. Helena Durkalcówna wraz z druhną hm. Miłą Węglarzówną, dwa pokoiki zajmuje lokal Komendy Chorągwi, komendy hufca i klubu instruktorskiego, drużyny hufca mają dla siebie osobną izbę, wreszcie w jednym pokoiku mieści się redakcja i administracja „Na Tropie“, „Hal“ służy do większych zebrań i tańców. *Żyrafa.*

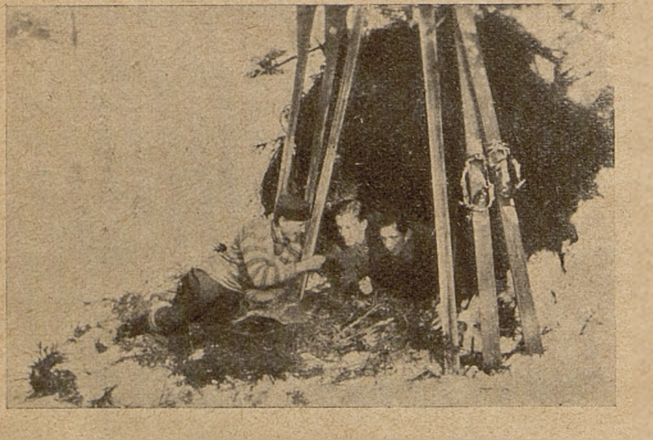
Co słychać w Harcerstwie.

Walny Zjazd Z. H. P.

W dniach 28 i 29 grudnia ub. r. odbył się w Warszawie Walny Zjazd Z. H. P. Po zagajeniu obrad przez dha Przewodniczącego, ks. Jana Mauersbergera, wybrano prezydjum: Dh. Strumiłłę, Wocalewską i Kiedacza. Imieniem Władz Państw. powitał przybyłych Pan Minister W. R. i O. P., Dr. Sławomir Czerwiński.

Gorące oklaski zebranych świadczyły o aplauzie, z jakim przyjęto świetną mowę Pana Ministra. Następnie Naczelny Inspektor Harcerstwa, Dh. Wł. Sieroszewski, podkreślił konieczność ogarnięcia przez Z. H. P. jak największych mas młodzieży potrzebującej zarówno kierunku moralnego, jak i ćwiczeń, obozów i wszelkich sportów. Następnie ks. Jan Mauersberger wygłosił referat na temat religijności w harcerstwie.

Kolejno złożono sprawozdania z poszczególnych działów Naczelnictwa i Głównych Kwater. Sprawozdania te zostały wydrukowane w 12 nrze „Wiadomości Urzędowych". Wynika



Zima skautów norweskich: schron śnieżny.

z nich, że Z. H. P. liczył 1. 1. 1929 r. 17.688 harcerek, w tem 4.303 z przyrzeczeniem, oraz 411 instruktorek. Harcerzy było 38.731, starszyzny 593, oraz 222 drużynowych pełnoletnich[1]).

Brak miejsca nie pozwala nam na streszczenie nawet sprawozdania, zawierającego dużą ilość szczegółów.

Wynikiem dwudniowych obrad było polecenie N. R. H. opracowania projektu reorganizacji Związku, zmierzającej do usamodzielnienia obu części Związku, t. j. żeńskiej i męskiej, przelania wielu kompetencyj Naczelnictwa na Główne Kwatery, gospodarczego uniezależnienia Komend Chorągwi i t. p. Zjazd Walny kwietniowy ma się zająć temi sprawami.

Ponieważ w ostatnim czasie wyrażano w prasie codziennej, jak i harcerskiej, wątpliwości co do charakteru ideowego Harcerstwa, Zjazd Walny przypomniał uchwałę N. R. H., stwierdzającą, że ZHP. jest organizacją polskiej młodzieży chrześcijańskiej i stwierdził, że Z. H. P. w ogromnej większości (jak zresztą naród polski) składa się z młodzieży wyznania katolickiego, a członkom wszystkich innych wyznań chrześcijańskich zapewnia całkowitą tolerancję i zachęca ich do wypełniania praktyk religijnych.

Zjazd W. polecił następnie N. R. H. w tekście prawa harcerskiego uwidocznić obowiązek służby Bogu, o którym była dotychczas mowa tylko w przyrzeczeniu.

Wybory do N. R. H. i w następstwie tego ukonstytuowanie się N. R. H. dały następujące wyniki: Przewodniczącym Związku wybrano dh. Sołtana, b. wojewodę i prezesa Zarządu Oddziału Z. H. P. warszawskiego, wiceprzewodn. dh. Śliwowską i Olbromskiego, sekretarzem generaln. J. Grabowskiego, skarbnikiem Karczewskiego, oraz członkami Naczelnictwa: Grzymałowskiego i Olędzkiego. Na stanowiskach Naczelników G. K. pozostali nadal dh. Dydyńska i dh. Cedlaczek. Ponadto do N. R. H. weszli dh. Braunowa, Falkowska, Gosieniecka, Nekraszowa, Paliwodzianka, Trylski, Grzesiak, Gertrych, oraz pozostali w niej dh. Glass, Maresz, Strumiłło, Laszczkówna.

Naczelnym Kapelanem został ks. Sobczyński, prezes Oddziału Zagłębiowskiego.

[1]) W dalszej części numeru podajemy dane statystyczne z Anglji (przyp. red.)

Z Chorągwi Śląskich.

DOROCZNA GWIAZDKA ODDZIAŁU ŚLĄSKIEGO odbyła się w dn. 26. I. w Katowicach, zorganizowana przez Zarząd Oddziału. Szereg gości z pośród przyjaciół Harcerstwa, w szczególności P. Wojewoda Dr. Grażyński, prezes honorowy Oddziału, Pan Naczelnik Wydz. Oświec. Publ. Dr.Ręgorowicz, wielu instruktorek i instruktorów z całego Województwa wzięli w niej udział.

ODPRAWA STARSZYZNY MĘSKIEJ CHOR. odbyła się 26. I. Omówiono zagadnienie ciągłości pracy wychowawczej, przyczem Dh. Hufcowi złożyli wyczerpujące sprawozdania ze stanu prac na swych terenach. Zasadniczy referat wygłosił Dh. Ant. Olbromski, wiceprzewodn. ZHP. Popołudnie poświęcono omówieniu służby Bogu w harcerstwie. Prawdziwie głęboki referat wygłosił na ten temat ks. Dr. Milik, kapelan Chorągwi, poczem głos zabrał Naczelny Kapelan ks. Sobczyński i hm. Dr. Krupiński, który podał szereg przykładów z życia drużyny w Niwce.

Z BIELSZOWIC otrzymaliśmy duże sprawozdanie z pracy hufca, liczącego w 6 drużynach 152 harc. Drużyny posiadają 4 izby i lokal Kmdy Hufca. W r. 1929 ogółem odbyło się 732 zbiórek dryn. i zastępów, oraz 62 wycieczki. (Trochę zamało! — przyp. Red.). W hufcu przeprowadzono trzy kursy: sanitarny, muzyczny i introligatorski, zorganizowano zawody strzeleckie i trzy razy lekkoatl. Ogółem na różnych zawodach zdobyto 25 nagród sportowych. W Zlocie wzięło udział 20-tu harcerzy. Odbył się też wędrowny obóz 6 dniowy po Beskidach.

ZAWODY NARCIARSKIE OGÓLNOPOLSKIE odbędą się w dn. 2. II. w Zwardoniu. W program wchodzą biegi indywidualne i drużynowe dla jun. i sen., bieg zjazdowy z rozbiegiem i jazda piękna.

KURSY ZASTĘPOWYCH urządzają Kdy Hufców w Mysłowicach i w N. Bytomiu.

O POLSKIEM MORZU szereg wykładów wygłosił w drużynach hufca nowobytomskiego dh. Inż. Młodzianowski.

KURS PRACY ZUCHOWEJ — informacyjno-metodyczny zorganizował Ż. Klub Instruktorski przy Kom. Chor. w Katowicach.

KURS DLA DRUŻYNOWYCH, obejmujący teoretyczną stronę przygotowania do próby na drnową rozpocznie się w Katowicach 10 lutego w lokalu Żeńskiej Kom. Chorągwi.

Gwiazdka i przyrzeczenie w Król. Hucie.

Hufiec w Królewskiej Hucie tradycyjnie już urządza corocznie przyrzeczenie w czasie „Gwiazdki". Tak zbiegają się dwie piękne uroczystości. A „Gwiazdka" drużyn tego hufca jest zawsze nader wspaniała, dzięki zapobiegliwości troskliwego Koła Przyjaciół. I w tym roku obszerna sala gimnazjum żeńskiego zgromadziła wszystkie drużyny hufca, a więc sześć drużyn z Królewskiej Huty, trzy z Wielkich Hajduk i jedną z Chorzowa .

Przybył p. starosta Szaliński, p. prezydent Spaltenstein, przewodnicząca Zarządu Oddz. Śląskiego druhna Jordanówna i Komendantka Chorągwi druhna Laszczkówna. Ponadto wielu członków Koła Przyjaciół z pośród rodziców i nauczycielstwa. Uroczystość rozpoczęło okolicznościowe przemówienie ks. kapelana dr. Milika, poczem nastąpiło tradycyjne łamanie się opłatkiem i odśpiewanie kolend przy zapalonem drzewku. Następnie w czworoboku, który uformował hufiec, wystąpiły harcerki do przyrzeczenia. Przemówiła do nich Komend. Chorągwi, poczem padły w ciszę słowa tak znane i tak zawsze wzruszające: „Mam szczerą wolę . . ." Hufcowa wręczyła krzyże wszystkim nowym harcerkom, poczem odśpiewaniem „Roty" i „Wszystko co nasze" zakończono poważną część uroczystości.

Teraz zasiedli wszyscy do stołów nader obficie zastawionych, a drużyny kolejno popisywały się przygotowanemi występami. Były więc i tańce i popis gimnastyczny i monolog i dowcipnie pomyślane żywe obrazy z literatury, z których wszyscy zebrani musieli odgadywać, jaką postać czy scenę przedstawia dany obraz. Jedna z drużyn odegrała obrazek sceniczny „Alarm", drukowany swego czasu w „Na Tropie". Całość wypadła nader miło i udatnie, świadcząc dobrze o poziomie pracy i sprawności drużyn tego hufca i pozostawiając uczestnikom jaknajlepsze wrażenie.

Na zakończenie trzeba dodać, że od listopada 1929 r. Królewska Huta ma nową hufcową w osobie druhny phm. Ireny Bólówny, gdyż druhna hm. Janina Chojnaczka złożyła ten urząd po pięcioletniej owocnej pracy.

Gwiazdka w Załężu.

Żeńska drużyna w Katowicach-Załężu urządziła wspólnie z męską „Gwiazdkę" w dniu 19 stycznia br. Obszerną salę wypełnili rodzice, rodzeństwo i przyjaciele harcerzy. Po przywitaniu gości i odśpiewaniem kolęd nastąpiły popisy sceniczne, udatne i starannie przygotowane przez dziewczęta i chłopców, lecz tak obfite, że przeciągnęły się do późnego wieczora, poczem nastąpiła zabawa taneczna. Na „Gwiazdkę" przybyła przewodnicząco Z. O. druhna Jordanówna, Komendantka Chor. druhna Laszkówna, hufcowa katowicka druhna Tworkowska i Komendant Chorągwi druh Łowiński. Żeńska drużyna w Załężu znów miała sposobność pokazać, jak dzielnie wzięła się w tym roku do pracy pod kierunkiem nowej drużynowej druhny Marji Siwoniówny.

Przyrzeczenie w hufcu katowickim.

W niedzielę, 12 bm. odbyło się w żeńskim hufcu katowickim uroczyste przyrzeczenie. Przyrzeczenie odebrała hufcowa druhna hm. Zofja Tworkowska.

Wymiana odwiedzin.

W styczniowym numerze Jamboree czytamy:

„Związek Skautów Węgierskich prosi nas o opublikowanie co następuje:

Ubiegłego lata skauci węgierscy spotkali wielką liczbę swoich braci z zagranicy i zadzierżgnęli niezliczone więzy przyjaźni. Wielu z nich żałowało, szczególnie na Jamboree światowem, że w wirze wypadków, nie mieli sposobności do spędzenia jednego spokojnego wieczoru, lub którejkolwiek części dnia, aby móc wymienić swoje myśli, pomówić o domu swoich rodzicach, o swoich zamiłowaniach i celach. Chociaż była to okazja wspaniała dla wielu z nas, to jednak Jamboree nie było terenem spraw tego rodzaju.

To właśnie i obserwacja czwartego prawa skautowego „skaut jest przyjacielem wszystkich, a bratem każdego innego skauta", zrodziły myśl wymiany wizyt na wielką skalę — podjęcia wymiany skautów w miejsce wymiany odznak.

Istnieje stary zwyczaj węgierski, że wymienia się dzieci południowych i północnych Węgier, aby nauczyły się narzecza obu części kraju. To jest także naszym celem — nauczyć się nowego języka podczas kilkotygodniowego pobytu u jednego z braci skautów. Jesteśmy pewni, że znajdzie się wielu chłopców w innych krajach, którzy przyjadą z przyjemnością zobaczyć swoich towarzyszy węgierskich, i że wiele rodzin tych krajów będzie uważało się za szczęśliwe goszcząc u siebie skauta węgierskiego.

Wymiana skautów może się zacząć najbliższego lata. Prosimy skautów, którzy pragną wziąść udział w tej akcji o podanie następujących szczegółów: 1) Jakie strony Węgier pragnie poznać, 2) datę urodzenia, 3) szczegóły o swojej rodzinie i krótki życiorys, abyśmy mogli zapoznać go z rodziną odpowiadającą mu, u której będzie gościem na Węgrzech, 4) czy będzie mógł w swojej rodzinie przyjąć skauta węgierskiego podczas swego pobytu na Węgrzech. Prawdopodobnie będzie wielu takich, którzy woleliby naprzód pojechać do obcych, aby potem wprowadzić do siebie swoich przyjaciół. Skauci węgierscy wypełniają już listę zgłoszeń, a my zapraszamy skautów innych krajów do wzięcia udziału w tej nowej grze skautowej w możliwie jaknajszerszym stopniu. Piszcie już od dziś.

Wszyscy instruktorzy zainteresowani w tem przedsięwzięciu niech piszą w pierwszej linji do Międzynarodowego Biura Skautów.

*

W TARNOWIE HARCERKI mają dyżury przy nauce dzieci, opiekują się jednym powstańcem i czterema dziewczynkami, utrzymują w porządku i przyozdabiają znajdujące się pod miastem groby harcerzy i powstańców, na Zaduszki szykują wieńce na groby poległych pod Łowczówkiem.

W MIELCU DRUŻYNA ŻEŃSKA uważa, że już dorosła do tego, aby promieniować na zewnątrz. I-szy zastęp pracuje pod hasłem: „Kształćmy charaktery, reformę świata zacznijmy od siebie". II-gi zastęp: „Uczmy przykładem, bo czyn więcej znaczy, niż najpiękniejsze słowa". III-ci zastęp czynnie odpowiada na następujące pytanie: „co czynić, aby świat zostawić lepszy niż zastałem?" i wyklucza negatywną krytykę, IV-ty zastęp „czuwa nad sobą". Z haseł zastępów urosło hasło drużyny: „Śladami wielkich ludzi". Dla poznania ich życia dziewczęta opracowują indywidualnie życiorysy, poznają przytem historję harcerstwa, historję Polski i literaturę i czerpią z nich przykłady. Na pracę społeczną też ta pracowita drużyna znajduje potrzebny czas, wysyła zbierane książki zagranicę, organizuje święto sadzenia drzewek, zajmuje się dziećmi ze szkoły powszechnej, prowadząc gry popołudniowe i przygotowując teren do przyszłej roboty harcerskiej. Zaznajamia i zainteresowuje miejscowe społeczeństwo z pracami harcerskiemi, stykając się z niem na wieczornicach, przy ogniskach w polu, na wycieczkach i zbiórkach specjalnych. Drużyna zarobkuje. Mimo zimy uprawia gry polowe itp. („S k r z y d ł a")

ŻEŃSKI KOMITET MIĘDZYNARODOWY postanowił urządzać międzynarodowe obozy skautowe dla drużynowych i instruktorek. Pierwszy taki obóz odbędzie się w dniach 5—17-go lipca b. r. w Foxlease w Anglji. Każda z organizacji ma nań przysłać dwie drużynowe instruktorki. — 50 tys. funtów szterlingów (przeszło dwa miljony złotych) ofiarowała p. Choate, Amerykanka, członkini Komitetu Międzynarodowego na wybudowanie Międzynarodowej Głównej Kwatery Żeńskiej w Szwajcarji i na zakupno tamże terenów dla międzynarodowych konferencyj i obozów.



Zima skautów norweskich:
sanki z nart, służące przy pierwszej pomocy.

OSTATNIA Ż. KONFERENCJA MIĘDZYNARODOWA postanowiła, że dla całego Wschodu Europy Dworek Cisowy będzie centrum wyszkolenia instruktorskiego. Oprócz Dworku Cisowego będą jeszcze dwa takie centra dla Europy Zachodniej.

ZARZĄD ODDZIAŁU MIASTA CHICAGO ustanowił na najbliższy okres pracy skautowej program czteroletni w miejsce dotychczasowych programów jednorocznych. Jest on tylko przejściem do programu pracy na okres dwudziestu lat, którego celem będzie objęcie wszystkich chłopców miasta Chicago w wieku skautowym w ramu skautingu. Ten program czteroletni przewiduje wydatki w wysokości ćwierć miljona dolarów i wzrost drużyn z 600 na 1100.

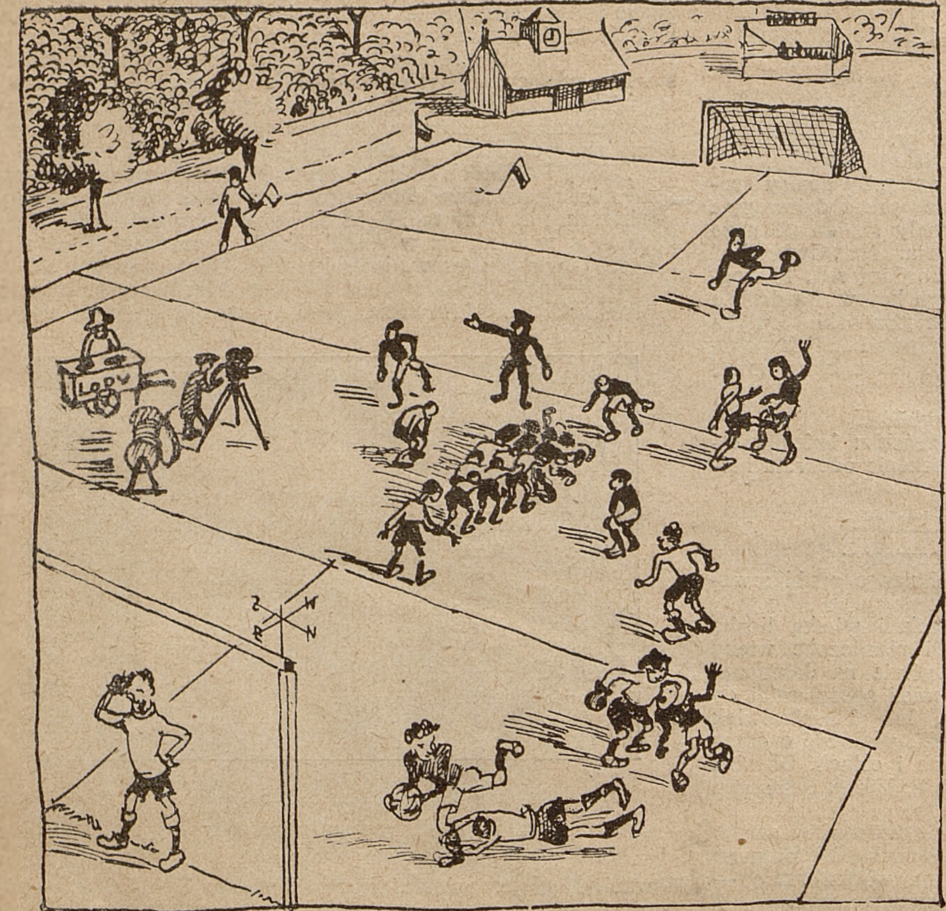
JEDNA Z ANGIELSKICH DRUŻYN Z DEVONSHIRE już trzeci raz z rzędu rozdzieliła w dniu Bożego Narodzenia między kilka ubogich rodzin 30 q węgla, spełniając w ten sposób piękny, dobry uczynek.

SKAUTING W IRAKU istnieje od roku 1919 i znajduje się pod protektoratem króla Feizala. Minister wychowania publicznego jest honorowym prezesem organizacji, która jest od wspomnianego ministerstwa uzależniona. W szkołach publicznych odbywają się specjalne kursy skautowe, które wychowują instruktorów, zakładających później drużyny skautowe na terenie całego państwa.

Obecnie organizacja skautowa w Iraku liczy 8 tys. wilcząt skautów i starszyzny. Skauting cieszy się w społeczeństwie Iraku wielką bardzo popularnością i zloty narodowe odwiedzane są zawsze tłumnie przez publiczność, która zna dobrze skautów z ich ofiarnej pomocy w czasie klęsk elementarnych nawiedzających często Irak.

SKAUCI UKRAIŃSCY przystępują do budowy domu skautowego we Lwowie.

W LONDYNIE odbyło się posiedzenie ang. „Naczelnej Rady" Skaut. Gen. Baden Powell, który wyjechał do Indyj Zach., był nieobecny i przysłał tylko „orędzie", podnoszące znaczenie starszych skautów (rowerów), dzięki nim bowiem udało się „Jamboree". Z zestawień liczbowych wynika, że liczba skautów w całem Imperjum wzrosła o w ub. r. o 36.456 i wynosi 690.586 skautów i 46.559 oficerów skaut. Tych ostatnich przybyło 4.548. (Porównajmy ze stanem naszej starszyzny! — przyp. Red.). W Anglji stan drużyn podniósł się o 28.000 i wynosi około 400.000. Wilczki nie są w te cyfry wliczone. W Imperjum liczba ich wynosi 213.000 (przybyło 24.000).



Czy widziałeś match piłki nożnej?

Jeżeli nie, to nie sądź, że rysunek obok umieszczony, jest wzorem doskonałego spotkania na idealnem boisku

Przeciwnie, rysownik popełnił szereg błędów. Wykryj je i zestawienie ich nadeślij do Redakcji „Na Tropie" w Katowicach, ulica Szafranka, Domek Harcerski.

Kto do dnia 18 lutego nadeśle najlepsze zestawienie, otrzyma jako nagrodę przybory sportowe wedle wyboru wartości 30 zł., dwu innych otrzyma jako II. i III. nagrodę przybory wartości 10 zł. oraz dziesięciu innych nagrody pocieszenia.

Nagrody te Redakcja rozdzielić może drogą losowania.

Dla orjentacji podajemy, że nie należy wyszukiwać więcej niż 25 błędów.

Rozwiązanie konkursu sportowego

z Nr. 10/12.

Trafne rozwiązanie nadesłało pięciu uczestników konkursu: Edw. Andrzejewski, Edm. Długi z Katowic, Jacek Rogowski z Chełmu Lub., Ryszard Suprymowicz i Eug. Zińczuk z Leśnej Podl.

Rozwiązań z jednym błędem nadeszło 14, z dwoma błędami 14, oraz 86 z większą ilością błędów.

Drogą losowania pierwszą nagrodę, t. j. piłkę nożną, wartości 25 zł., otrzymał Eug. Zińczuk z Leśnej Podl., drugą nagrodę, t. j. ping-pong, Edmund Długi z Katowic.

Pozostali wyżej wymienieni trzej uczestnicy konkursu otrzymali jako nagrodę pocieszenia kwartalną bezpłatną prenumeratę „Na Tropie".

Również Redakcja przyznała, jako nagrody pocieszenia, dwumiesięczną prenumeratę 14 uczestnikom, którzy nadesłali rozwiązania z jednym błędem, a to: V. Drużynie harcerskiej w Krakowie, „Rysiowi Przezornemu" z Krakowa, Jerzemu Drylskiemu z Leśnej Podl., Józefowi Karczewskiemu z Kielc, Edw. Hryniewiczowi z Baranowicz, Zb. Stasinie ze Lwowa, „Wiślokowi" z Krakowa, Janowi Piaseckiemu z Warszawy, Juljanowi Janikowi z Tarnowa, Franc. Grochockiemu z Grudziądza, Hermanowi Kubinie z Katowic, Herb. Kośmie z M. Dąbrówki, Z. Jasińskiemu z Torunia, Szczepanowi Zarębskiemu z Płocka.

Na podkreślenie zasługują rozwiązania M. Pędzińskiego z Krasnego Stawu i Jana Piaseckiego z Warszawy, nadesłane w wierszowanej formie, zwłaszcza pierwsze, wcale udatniej.

Ciekawi już zapewne jesteście, Kochani Czytelnicy, jak brzmiało właściwe rozwiązanie!

Otóż kolejno poszczególne figury oznaczały następujące rodzaje sportów: 1. piłka nożna, 2. łyżwiarstwo, 3. hokej, 4. lekkoatletyka — bieg, 5. kolarstwo, 6. lekkoatletyka — pchnięcie — rzut, 7. narciarstwo, 8. boks, 9. szermierka.

Cena numeru 50 groszy. Prenumerata dwumiesięczna 1 zł, kwartalna 1,50 zł, półroczna 3 zł, roczna 6 zł.

W skład Komitetu redakcyjnego wchodzą: Marja Kapiszewska, Jadwiga Laszczkówna, Jan Grzbiela, Henryk Kapiszewski, Adam Kossowski, Adam Kozaczka, Tadeusz Wąsowicz, Marjan Wierzbiański, Adam Wiliński, Jan Kazimierz Zaremba.
Pracą Komitetu redakcyjnego kieruje Marjan Wierzbiański.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.

Odbito w Drukarni Śląskiej, Sp. z o. o., Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.